№ 21. Warszawa, dnia 10 (22) Maja 1886 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

Sonata Bethowena.

(Dalszy ciąg.)

Autor symfonii *pastorale*, urodził się w Bonn 17 Grudnia r. 1770.

Matka Marya Magdalena Kewerich rodem była z Koblencyi a ojciec Van Bethowen, należał do chóru śpiewaków kaplicy elektora w Kolonii. Pochodząc z biednej rodziny artystów, Bethowen miał trudne i burzliwe dzieciństwo, co się odbiło w jego gwałtownym charakterze. Nauczył się języka łacińskiego w szkole publicznej a od ojca pierwszych zasad muzyki. Trzeba go było z początku zmuszać do studyowania sztuki, która miała unieśmiertelnić jego nazwisko. Nie mógł usiedzieć spokojnie przy fortepianie i poddać rąk ćwiczeniom czysto mechanicznym.

Niemniejszy wstręt budziła w nim nauka gry na skrzypcach, których trudności nie mógł nigdy zwyciężyć. Następnie przeszedł pod kierunek sławnego oboisty Pfeifra, którego rady wywarły korzystny wpływ na rozwinięcie smaku młodego chłopca.

Van der Eder uczył go grać na organach, na tym pysznym instrumencie, tak ulubionym zawsze przez Bethowena, w którego wrażliwej duszy musiał obudzić te potężne dźwięczne tony, wprowadzane do symfonii.

Od pierwszych lat życia okazywał Bethowen chorobliwą zmienność mizantropijnego humoru i burzliwą niezależność ducha. Rozwój jego duchowy postępował zupełnie odrębną drogą. Dedukcye logiczne przerażały wyobraźnię rozmiłowaną w widoku natury. Głuchy na przepisy scholastyki, otwierał serce tylko dla uczuć żywych, płodnych, jakich dostarczało mu studyowanie dzieł ulubionych mistrzów. Lubił czerpać u źródła i podobnie jak ptak niebieski, maczać skrzydła w wodach potoków. Bach, Haendel i Mozart byli prawdziwymi jego nauczycielami. Odczytywał ich dzieła, czerpiąc z nich świeże natchnienie. Od jednego przyswoił sobie harmonią dziką i swobodną żartobliwość czarujących fug; od drugiego majestatyczne tempo jego okresów muzykalnych; od trzeciego promień tego wdzięku niebiańskiego, który można było później odnaleźć jeszcze w jego utworach. Młodość Mozarta i Bethowena przedstawia kontrasta, które się ujawniły w ich późniejszych losach. Pierwszy łagodny, pokorny, przyjmuje z naiwną wiarą rady mistrzów i rozwija się spokojnie na łonie rodziny; aureola sławy i szczęścia, wieńczy już jego kołyskę: tymczasem drugi niespokojny, buntujący się wiecznie, wznosi czoło poorane burz błyskawicą.

Mistrzem, który nauczył Bethowena mówić językiem tajemniczym, był władzca ludzi i bogów, jak mówi Platon, który urodził się po chaosie, aby go poddać harmonii: Był to Eros-miłość.

Może pani nie uwierzy, że są pedanci, którzy pytają się na seryo, czy autor sonaty *cis mol* i symfonii *a dur* doznał kiedykolwiek głębszych, serdeczniejszych uczuć? Te stwardniałe mózgi wyobrażają sobie, że ludzie podobni jak Weber, Gluck, Bethowen, kują się w warsztacie kontrapunktu. Żałuję tych, którzy w muzyce widzą tylko *naukę tonów*, a nie sztukę modulacyi *i dolci lamenti* namiętności.

W mieście Bonn przemieszkiwała rodzina szlachecka de Breuning, przez którą młody Bethowen był bardzo uprzejmie przyjmowany. Wśród tej rodziny, obdarowanej fortuną, wykształceniem i dobrym smakiem, znalazł młody artysta moralny przytułek dla swego niespokojnego umysłu i gorącej wyobraźni. Chodził tam codziennie to z nową kompozycyą, której chętnie słuchano, to z twarzą ponurą i sercem ściśniętem przez jedno z tych cierpień bez nazwiska, które są karmą i przywilejem geniuszu. Słuchano go życzliwie, zachęcano, starano się rozpraszać troski tej smutnej duszy; przyjmowano z pobłażaniem wszystkie wybuchy tego zmiennego temperamentu. Zdarzało się, że

przez kilka tygodni bywał zupełnie niewidzialny, a kiedy znowu wracał, witano go tylko z serdecznemi wyrzutami. W domu tej wykształconej rodziny, gdzie gromadził się świat inteligentny, Bethowen zagustował w towarzystwie wykwintnem, którego zawsze szukał i tam to osłuchał się z nazwiskami wielkich poetów i pisarzy współczesnych.

Do częstych gości Breuningów należała pewna młoda panienka; była to blondynka, żywa, sprytna, tkliwa, troszkę kokietka, nazwiskiem Joanna de Honrath. Mieszkała stale w Kolonii, a kilka razy do roku przyjeżdżała odwiedzać swoich przyjaciół. Panna de Honrath była drobniutka, elegantka, wykształcona, wesoła, muzykalna, gdyż doskonale grała i śpiewała. Bethowen, którego traktowała jak dziecko, był w niej prawdziwie zakochany.

Zdradzał on niepokój swego serca to uniesieniami, które bawiły nieraz czarującą osóbkę, będącą ich sprawczynią, to znów naodwrót czarował ją, rozmarzał a nawet wzruszał do łez, swojemi improwizacyami fortepianowemi.

Jest-to przywilej geniuszu, uskrzydlonego przez miłość, że każe zapominać o różnicach wieku, stanowiska i majątku. Chociaż panna de Honrath była już wtedy narzeczoną człowieka, za którego później wyszła za mąż i miała dziesięć lat więcej od Bethowena, nie mogła jednak słuchać bezkarnie jego gry, która była tłomaczem boleści i mglistych nadziei. Wtedy opanowywało ją także wzruszenie a to dziecko, które było już wówczas jednym z najświetniejszych improwizatorów, jacy kiedykolwiek istnieli, rosło w jej oczach pod palącem ogniem rodzącej się namiętności. Lubiła ona rozmawiać z Bethowenem wywołując drażniącą ironią, jego naiwne uniesienia; można powiedzieć, że była to gazella igrająca z lwiątkiem. Pewnego razu, wracając od Breuningów do Kolonii, pożegnała swego młodego wielbiciela trzema wierszami znanej piosenki.

Mich heute noch von dir zu treunen,
Un dieses nicht verhindern kennen,
Ist zu empfindlich für mein Herz.

Mimo tego panna Honrath wyszła swoją drogą zamąż za kapitana austryackiego Karola Greth, który umarł w r. 1827 jako jenerał brygady. Bethowen zachował długo w sercu krwawe ślady, tej pierwszej miłości. Chociaż w wieku, w którym zwykle śpi jeszcze serce młode jednak głęboko uczuł niewierność swego ideału; ani lata, ani rozgłośna sława, ani nowe i silniejsze cierpienia nie zdołały zatrzéć obrazu tej młodej, powabnej dziewczyny, która pierwsza przejrzała się w jego jeszcze dziewiczej duszy. Jest-to prawdą niezawodną, że miłość też stanowi różnicę, między ludźmi, wyższymi a pospolitym zastępem pisarzy.

Serce zawsze młode, podobnie jak ów ptak bajeczny pali się, niszczeje i odradza nieustannie z ostygłych zaledwie popiołów. Prawdziwi artyści i poeci nie mają prawie dzieciństwa ani starości. Dusza ich rozwija się jak kielich kwiatu, przy pierwszych promieniach jutrzenki. Michał-Anioł kochał się do ośmdziesiątego roku życia w kobiecie, której nigdy nie posiadał, a Goethe przy końcu swego długiego życia zdobył serce szesnastoletniej dziewczyny, która mu sama ofiarowała swą miłość. Alfieri, Byron, Canowa, wyznają iż wspomnienie pierwszej dziecinnej prawie miłości, przeżyło w ich sercu, wszystkie koleje losu.

Największy wpływ miłości przedwczesnej i trwałej, przedstawia historya Danta. W dziewiątym roku życia, autor Bozkiej Komedyi doznał tego głębokiego wstrząśnienia, które miało decydować o jego przeznaczeniu i utworzyć jedno z najwspanialszych arcydzieł ducha ludzkiego. W małej książeczce *Vita nuova*, która jest równie ciekawa dla filozofa jak zajmująca dla artysty, poeta opowiada, że było to w miesiącu Maju 1276 roku, kiedy ujrzał po raz pierwszy w pewnym domu we Florencyi tę, która się stała przedmiotem jego nieśmiertelnych marzeń. Spostrzegłszy dziewczynkę, która była kilka lat młodszą od niego, zawołał, jak mówi, z głębi zachwyconej duszy:

— Oto bóstwo silniejsze ode mnie, które przychodzi mnie pokonać!

W dziewięć lat później spotkał Beatrycz we Florencyi na ulicy, w towarzystwie dwóch dam. Ubrana biało, idąc z imponującą dystynkcyą, zwróciła głowę i skierowała na młodego człowieka, milczące i drżące spojrzenie. Od tej pamiętnej chwili a nadewszystko od śmierci Beatryczy, przypadłej 1290 r., Dante postanowił poświęcić wszystkie swe zdolności na uwiecznienie w pamięci ludzkiej imienia kobiety, która w biegu życia, rzuciła na niego swój cień czarujący.

Bethowen, którego ponury geniusz ma dużo powinowactwa z charakterem pierwszego poety włoskiego, opuścił Bonn w 1792 roku dla dokończenia studyów w Wiedniu, ówczesnem ognisku świata muzykalnego. Odwiedzał on już Wiedeń w zimie r. 1786 i 1787, mając lat 16 i 17, szczęśliwym trafem został przedstawiony Mozartowi, który mu przepowiedział sławę. Autor Don Juana, słuchając improwizacyi Bethowena na zadany przez siebie temat, olśniony był bogactwem jego wyobraźni i powiedział do obecnych.

— Będziecie dużo słyszéć o tym młodym człowieku!

Bethowen mający w 1792 r. lat dwadzieścia dwa dał się zaledwie poznać przez lekkie utwory fortepianowe i pieśni, w których widocznem jest naśladownictwo Mozarta; gdzieniegdzie można jednak dostrzedz błyski samodzielnych usiłowań. Przyjmował go w Wiedniu z rzadką przychylnością doktor Van Swieten, nadworny niegdyś lekarz Maryi Teresy, wielki miłośnik muzyki. Dom jego był rodzajem akademii, gdzie trzy razy na tydzień gromadziło się mnóstwo artystów i wykształconych amatorów, aby wspólnie studyować dzieła sztuki. Tam to miał młody muzyk sposobność zapoznać się lepiej z cudownemi kompozycyami Bacha, Haendla, Haydna i Mozarta, nie wyłączając włoskich mistrzów, począwszy od Palestryny.

W tym czasie, Bethowen zawiązał stosunki z księciem Lichnowskim, uczniem Mozarta żonatym z córką hrabiego Thun, u którego zamieszkał autor Don Juana, zwiedzając po raz pierwszy Pragę w r. 1786. W domu księcia młody Bethowen doznawał serdecznej życzliwości, której zakosztował już w rodzinie Breuningów. Był tam traktowany jako genialne dziecko, potrzebujące rady i pociechy. Młody muzyk miał do rozporządzenia kwartet, złożony z najsławniejszych artystów wiedeńskich, którzy w miarę ukazywania się, wykonywali jego utwory. Spostrzeżenia i sądy tych znakomitości były mu bardzo przydatne, gdyż zapoznawały go z naturą każdego instrumentu.

Przewodnikami jego byli Haydn i Albrechtsberger, uczony i surowy nauczyciel kontrapunktu, którego wykład krępował gorącą wyobraźnię ucznia, zamiast ją oświecić. Zdaje się, że Bethowen nie znalazł w radach ostatniego nic takiego z czego mógłby skorzystać jego samowolny geniusz. Wielki muzyk opowiadał często swoim przyjaciołom, że pod względem zasad kompozycyi skorzystał najwięcej zaznajomiwszy się ze Szenkiem, sympatycznym artystą, którego opera: „Wiejski cyrulik”, miała nawet wielkie powodzenie.

Francuzka rewolucya rozszerzając na zewnątrz zamęt jaki ją wyniszczał, ogarniała w dalszym ciągu Niemcy, niwecząc drobne państewka, które rozsiadły się na czarujących brzegach Renu. Elektor koloński został wypędzony ze swoich posiadłości. Maksymilian Austryacki, syn Maryi Teresy odznaczający się szlachetnością i galanteryą, pomimo że był księdzem, przerobił dwór swój na przybytek sztuk pięknych i wykwintnych przyjemności duchowych.

Protektor prawdziwej zasługi, umiał ocenić przedwczesny geniusz młodego artysty i mianował go organistą swojej kaplicy, naznaczywszy pensyą na ukończenie studyów w Wiedniu. Upadek elektora kolońskiego, pozbawiając Bethowena posady i pensyi, skłonił go do stałego osiedlenia się w Wiedniu, gdzie musiał w pracy szukać środków do utrzymania życia.

Jednocześnie przybyli tu jego dwaj bracia, których niezgoda zatruwała życie mistrzowi.

Na początku tego wieku, w chwili gdy doszedł do pełni życia i talentu, został Bethowen, dotknięty najstraszniejszem kalectwem jakie może spaść na muzyka. Biedak, ogłuchł. Cierpienie to objawiało się już w małym stopniu jeszcze w 1796 r., a wzrastając z latami dzięki nieświadomości lekarzy i błędnym ich radom, stało się nieuleczalne i potężny geniusz muzyczny, poeta wielki jak Homer, wielki, jak Dante, Michał Anioł albo Szekspir, nie będzie mógł więcej przeniknąć tego zaczarowanego świata tonów, powstającego na jego skinienie a zapełnionego tajemniczymi dźwiękami jakie z duszy swej snuje. Może pani wyobrazić sobie cierpienie tego wielkiego człowieka. Ponura rozpacz opanowała jego duszę. Wstydząc się swojej choroby, do której nie chciał się przyznać, uciekał od ludzi; nie mogąc porozumiewać się ze światem zewnętrznym, zamknął się w sobie, aby słuchać jedynego głosu, jaki mógł słyszéć, głosu tego geniuszu, który odwiedzał Sokratesa, i przemawia zawsze do sumienia wszystkich wyższych istot.

(*Dokończenie nastąpi.*)

PRÓBKI

Z ANTOLOGII POETÓW CZESKICH

w przekładzie polskim

Miriama.

I.

WITESŁAW HALEK.

Prawda (z cyklu: „*W przyrodzie*”).

Prawda! Prawda! Wielkie morze,
A jam drobny w sadzie kwiat;
Piję tylko małe krople,
A to morze — jako świat.

Prawda! Prawda! To niebiosa —
A jam pod chmurami ptak;
Latam, ile skrzydeł starczy,
Ale przestrzeń wielka tak!

Prawda! Wszechświat bezgraniczny —
A mnie — człeku — krótko żyć;
Wdycham ją z oddechem każdym,
Ale światło wieków nić!

II.

JAN NERUDA.

Los myśli ludzkiej (Z „*Pieśni kosmicznych*").

Alcyony blasku, srebrna łzo,
Czy wiesz ty, świetlna strzało,
Czem twa czarowna pani swą
Twarzyczkę krasi białą?

„Ah, może zwiędła już ta twarz,
I wdziękiem już nie świeci
Toć ja z poselstwem na świat wasz
Lecę już sześć stuleci!"

Ty, pośle z państwa mlecznych dróg,
Powiedz mi, jakiem prawem
Światów się milion skupić mógł,
W tem wielkiem polu mgławem?

„Może już zgasły światy te,
Już dawno po nich może,
Toć tysiąc wieków kończy się,
Jak mknę przez nieb przestworze!"

Taki też myśli ludzkiej los:
Nie zaraz zagrzmi dumnie,
Po wiekach słyszy świat jej głos —
Myśliciel śpi już w trumnie.

UMARŁA.

PRZEZ

Oktawiusza Feuillet.

PRZEKŁAD

Joanny Belejowskiej.

CZĘŚĆ TRZECIA.

(Dokończenie.)

Zdawała się odzyskiwać ufność we mnie, głos jej drżał wzruszeniem.

— Milczałam — mówiła — bo zanim pani moja powróciła do Boga, kazała mi przysiądz na krzyż Zbawiciela, że nigdy nie wydam tej tajemnicy.

— Ależ nie przykazała ci ukrywać tego przedemną!

I teraz ja z kolei wlepiłem w nią oczy. Zawahała się, a po chwili wyszeptała:

— Prawda... nie mówiła o panu... ponieważ myślała biedna...

— Jakto?... więc cóż myślała?... Że wiedziałem o tem... a więc, że byłem wspólnikiem?... Mówże... mów przecie!...

Spuściła oczy i nic nie odpowiedziała.

— Ah! Boże mój!... Boże!... jestże to możliwe?... Chodź, kochana Genest... chodź usiądź tu przy mnie... i mów... powiedz mi wszystko... wszystko co tylko wiesz... coś tylko mogła dostrzedz... Kiedyż pierwszy raz coś dojrzałaś?... domyślałaś się... Bo od pewnego czasu Alieta rzeczywiście była chora...

— Tak panie, ale nie było to nic groźnego ani niebezpiecznego... wszak wie pan, że doktorzy zgadzali się na to... a i ja zanadto dawno czuwałam nad nią i doglądałam, abym się mogła omylić... A! wiem dobrze odkąd zaczęło grozić niebezpieczeństwo... Czy przypomina pan sobie, że gdy księżna przyjechała do Valmontiers, posłano powóz po pannę Sabinę. Otóż pewna jestem, że w owym to dniu rozpoczęła szatańską swoją zbrodnię... gdyż od niego to właśnie cierpienia pani zwiększyły się bardze... i w stanie zdrowia wielkie nastąpiły zmiany... Miałam jakoś tę pannę w podejrzeniu i baczną zwracałam na nią uwagę... Pewnego wieczoru ukrywszy się za firanką w przyległym buduarze, gdy przyrządzono lekarstwo, widziałam jak wyjęła z kieszeni jakiś flakonik i wpuściła z niego kilka kropli do lekarstwa pani. Podbiegłam natychmiast, wychodząc z ukrycia. Co panna dolewa? spytałam. Zaczerwieniła się bardzo, odpowiedziała jednak ze zwykłą sobie zimną krwią: „Są to krople, które wuj kazał mi dolewać do waleriany..." Oto co powiedziała, a przekona się pan zaraz, że skłamała.

Gdy ją tak schwytałam na gorącym uczynku, pewnie nie możnaby już było uratować pani... bo pewnie nie pierwszy raz dolewała owych kropli... pierwszą myślą moją było, aby zawiadomić pana o tem, ale nie śmiałam... Uprzedziłam jednak panią... Ah! panie, zdawało mi się, że nie powiedziałam jej nic nowego, a jednak ostro prawie mnie wyłajała. „Wiesz przecie, mówiła, że mąż jest zawsze obecny, gdy ona przyrządza lekarstwa... więc i on musiałby być jej wspólnikiem... a stokroć wolę przyjąć choćby śmierć z jego ręki, niż uwierzyć temu!..." I dobrze przypominam sobie, że właśnie w chwili, gdy to mówiła, wyszedł pan z buduaru, niosąc dla pani filiżankę waleryany... Spojrzała na mnie groźnie i wypiła... W kilka minut potem uczuła się tak źle, iż mniemała, że zbliża się ostatnia godzina... Kazała mi podać krucyfiks i przysiądz na niego, że nigdy nikomu nie wyjawię wspólnych naszych podejrzeń... I wtedy to posłałam po księdza...

Gdy już rozstała się z tym światem, pan Tallevant, który, jak pan sobie przypomina był nadzwyczaj zdziwiony i przerażony, zaczął wypytywać mnie o szczegóły. Wtedy odpowiedziałam iż zdaje mi się, że zaszkodziły pani bardzo krople, które kazał pannie Sabinie dolewać do lekarstw.

— Jakie krople? — zapytał, jakby nie rozumiejąc.

— Te, które panna Sabina miała w małym ciemnym flakoniku... Zbladł jak trup, wpatrzył się we mnie błędnemi oczami, potrząsł głową jak człowiek niewiedzący co odpowiedzieć i wyszedł spiesznie. Gdy nazajutrz rano dowiedziałam się o jego śmierci, pomyślałam sobie: Nieszczęśliwy, odebrał sobie życie!... Otóż powiedziałam panu co wiem, na co własnemi patrzyłam oczami... a przysięgam na Boga, że nie powiedziałam ani słówka, które nie byłoby najszczerszą prawdą...

Przestała mówić, nie byłem w stanie nic odpowiedzieć... ująłem jej drżące i pomarszczone ręce i przycisnąwszy je do mego czoła... płakałem jak dziecko...

. . . .

Czy żyć będę czy umrę; muszę ustrzedz córkę moją od wszelkiego zetknięcia z tą nędznicą. Jeźli pożyję jeszcze czas jakiś, sam czuwać na tem będę, jeźli mam umierać, trzeba aby ktoś inny mnie zastąpił. Przedsiębiorę wszelkie możliwe ostrożności, aby gdy żyć przestanę dziennik ten dostał się do rąk J. E. biskupa de Courteheuse, dziadka mojej córki, lub gdyby i on już nie żył do rąk komendanta do Courteheuse, brata matki Joasi a jej rodzonego wuja. Przeczytawszy, łatwo zrozumieją czego wymagam od nich.

Umową przedślubną poczyniłem hojne zapisy na rzecz Sabiny Tallevant, zapewniając dożywocie na połowie mego majątku, który z resztą przekazywałem córce, posiadającej prócz tego ogromny majątek po matce. Uważałem więc, że nie wyrządzam jej krzywdy. Ale owładnięty fatalną namiętnością, dodałem zastrzeżenie, iż w razie, gdyby córka moja zmarła nie poszedłszy za mąż, cały osobisty mój majątek przechodzi na własność Sabiny Tallevant. Tak więc córkę moją strzedz trzeba nietylko przed zgubną moralną zarazą złej i przewrotnej kobiety, ale i przed morderczą ręką zbrodniarki.

Muszę jeszcze wytłomaczyć dlaczego nie oddaję ją w ręce sprawiedliwości za pierwszą popełnioną zbrodnię. Osobiste moje wspomnienia, tak dokładne zeznanie starej Wiktoryi, nagła i tajemnicza śmierć doktora Tallevant i nareszcie poznanie niecnych instynktów i zasad Sabiny Tallevant, nie pozostawiają w przekonaniu mojem najmniejszej wątpliwości co do rzeczywistości jej zbrodni. Jeźli więc pozostawiam ją bez kary, to bynajmniej nie dla tego (jakkolwiek straszną jest sama ta myśl), że nędznica ta najniezawodniej oskarżyłaby mnie o wspólnictwo, ale jedynie z powodu, iż w duszy i w sumieniu mojem mam niezłomne przekonanie, ze stanowiska prawnego, brak dostatecznych dowodów spełnionej zbrodni.

Trucizna, skoro już użyć trzeba tego strasznego wyrazu, tak umiejętnie była wybrana i zadawana, iż najlżejszych nie zostawiła śladów. Zeznanie Wiktoryi, tak przywiązanej do pierwszej, a tak niechętnej i nielubiącej drugiej mojej żony, byłoby podejrzanem. Co zaś do szczególnych, choćby najsilniejszych powodów, oddziaływających na osobiste moje przekonanie, nie mogą one stanowić zasady do kryminalnego zaskarżenia. Gdyby wytoczyć sprawę tę przed sądem, wywołałoby to tylko straszny skandal, którego jedynem następstwem byłoby okrycie hańbą mego nazwiska, nazwiska mojej córki.

Tego tylko dokonać muszę i to za jaką bądź cenę, aby ta kobieta opuściła na zawsze Paryż i Francyą. Dla dojścia do tego celu, nie cofnę się choćby przed największą ofiarą majątkową. Lubi pieniądze; dołączając do nich groźbę, spodziewam się, że da się do tego skłonić. Jak tylko odzyskam tyle sił, abym mógł przenieść z zimną krwią obecność tej potwornej kobiety, sam rozmówię się z nią o tem.

...I zbrodniarka ta uniknie kary... jak unikają jej zapewnie wiele jej podobnych. A ileż to jeszcze uniknie jej w przyszłości!... W miarę jak namiętności ludzkie, a szczególniej straszne namiętności kobiety, zrywają wszelkie dawne tamy i hamulce, a jedynem dla nich prawem i wędzidłem

jest tylko kodeks karny, rozwój i postęp nauk mnoży do nieskończoności środki obchodzenia kodeksu i zaślepiania sądów.

10 Maja.

Umierała w mniemaniu, że jestem wspólnikiem zbrodni... Ah, jakaż to myśl straszna!... przerażająca!... Nie mogę się z nią oswoić... Istota tak delikatna, słodka, łagodna!... i ona mówiła sobie: „Mąż mój jest mordercą... to co mi podaje jest trucizną i on wie o tem..." I umarła z tą okropną, z tą ostatnią myślą!... I nigdy, nigdy nie dowie się, że to nieprawda... że jestem niewinny... że sama ta myśl dręczy mnie i zabija... że jestem nieszczęśliwszy od ostatniego nędzarza!... Ah! Ty Boże wszechmocny jeźli istniejesz, Ty widzisz co ja cierpię, ulituj się nademną!..

Ah! jakże pragnąłbym wierzyć, że między mną a nią nie wszystko się skończyło... że mnie widzi... słyszy... wie całą prawdę!...

Niestety!... nie umiem... nie mogę wierzyć!...

1 Czerwca.

Wiem iż utrzymują, że modlitwa jest zupełnie niepotrzebna, że zawsze i niezbędnie musi być bezskuteczną, ponieważ, jeźli nawet Bóg istnieje, to nigdy nie przyjmuje jakiegoś bezpośredniego, szczególniejszego udziału w sprawach tego świata, nie rządzi nim za pośrednictwem cudów, nie narusza nigdy ogólnego porządku, dla dobra jakiejś jednostki... Tak wiem o tem, ale twierdzenie to wydaje mi się zanadto bezwzględnem. Najpierw, że kto wierzy w Boga i modli się do niego, musi czuć się więcej w bezpośrednim z nim stosunku i w samem tem uczuciu znajdować siłę i niezrównaną pociechę... A potem jestże dowiedzionem, że modlitwa zawsze jest bezskuteczną?... Któż to wiedzieć może?... Jeźli są modlitwy tak szalone, że nie mogłyby zostać wysłuchane bez zakłócenia bozkiego porządku wszechświata, czyż Bóg, pomimo niewzruszonych praw swoich, nie mógłby także i modlitwie wolnego zostawić pola?... Czyż nie naruszając własnych praw swoich i nie czyniąc cudów, nie mógłby zadziałać na myśli i wolę błagającego Jego łaski czy miłosierdzia?... Czyliż matka modląca się o zdrowie swego dziecka, nie może mieć nadziei, że będzie ocalone, nie przez jakiś cud, ale przez własne jej starania, natchnione i kierowane przez Opatrzność?... Czyliż człowiek błagający Boga, aby mu dał łaskę wiary, prosi o coś coby zakłócało porządek przyrody i czyż nie może mieć nadziei, że modlitwa jego zostanie wysłuchaną i że światło o jakie błaga zabłyśnie w jego duszy?...

Czerwiec.

...Ostatnią jej myślą było, że jestem zbrodniarzem... i nigdy nie zostanie wywiedziona z błędu!...

...Wszystko zdaje się kończyć ostatecznie ze śmiercią. Wszystko wraca do żywiołów... i jakże wierzyć w cud osobistego zmartwychwstania?... a jednak w rzeczywistości wszystko jest cudem i tajemnicą, wszystko co nas otacza, co jest nad nami i w nas samych... Wszechświat cały jest tylko nieustającym cudem...

Czyliż odrodzenie się człowieka z łona śmierci, byłoby dziwniejszą, więcej niepojętą tajemnicą, jak przyjście jego na świat z łona matki?...

. . . .

Są to ostatnie słowa napisane przez Bernarda de Vandricourt. Zdrowie jego od dawna podkopywane zmartwieniem, nie zdołało przetrwać strasznych wzruszeń i tak okropnego ostatniego przejścia. Nieokreślona jakaś choroba, której powierzchownym objawem był antrax w gardle, w przeciągu kilku dni stała się śmiertelną.

Czując zbliżającą się śmierć, pan de Vandricourt przyzwał biskupa de Courteheuse, chciał umierać w religii Aliety.

Biedna istota pokonana za życia, zwyciężyła po śmierci.

P. S. Czyż potrzebujemy dodawać, że w opowiadaniu tem osnutem na autentycznych dokumentach, których główne tło zachowaliśmy starannie, dla nader ważnych podanych w niem faktów, zmuszeni byliśmy zmienić nazwiska daty i miejscowość. Łatwo także pojmą Czytelnicy, że nie bylibyśmy podali go do publicznej wiadomości, gdyby osoba, którą w drugiej części przedstawimy pod nazwiskiem hrabiny de Vandricourt, nie zniknęła już od dawna z widowni paryzkiej, aby po za granicami Francyi prowadzić swe awanturnicze życie.

KONIEC.

RYCERZ MORA.

(Dalszy ciąg.)

XIV.

Wieczorem tego samego dnia, wielkie łuny w stronie Częstochowy znamionowały, w jaki sposób Burchard Miller rozpoczął swe oblężenie. Ponad lasami niebo krwawiło się posępną, bałwaniącą się od dymów purpurą, widzianą wśród ciemnej, listopadowej nocy z daleka. Wojsko Żwana, po całodziennym pochodzie ku Częstochowie bo na radzie, jaką złożono po przybyciu Boruty z Dankowa, postanowiono zbliżyć się do Częstochowy i rwać Millera o ile się da i gdzie się da, zatrzymało się w małej, nędznej, zniszczonej przez Szwedów wioseczynie za Kłobuckiem, zwącej się Lubojna.

Wieś ta przedstawiała jeden wielki obraz ruiny. Wszystkie prawie chałupy chłopskie były popalone i sterczały tylko ich zręby zwęglone, czarne i dymiące. Sam dwór jedynie ocalał, choć i ten usiłowano widocznie podpalić. Zapewne Szwedzi zrobili to na odchodnem, a po ich wyjściu ludzie ugasili ogień. Jeżeli jednak dwór ocalał, niemniej przeto był on okropnie zniszczony. Wszystkie okna wybite, czerniały posępnemi otworami, u których zwieszały się szczątki ram miotanych wiatrem. Wewnątrz porąbane sprzęty, podziurawione obrazy, mnóstwo skorup z potłuczonych naczyń, pierza wyprutego z poduszek, kart z porozrywanych ksiąg, najrozmaitszych wreszcie szczątków, prawdziwie wandalską poniszczonych ręką. W jednej izbie na posadzce tliło się jeszcze ognisko, a od niego gorzała już sama posadzka. Około tego ogniska siedzieli widać Szwedzi, bo walały się potłuczone szklanice, gąsiorki wypróżnione, ogryzione kości i t. p. W innej izbie leżał trup psa, z haniebnie poplątanym łbem.

We wsi były pustki. Cała ludność uciekła przed Szwedem do lasów sąsiednich i żywej duszy nie było, jeno psy wyły po kątach. Oprócz tych psów, nie nalazłeś tam ani jednego żyjącego stworzenia. Koty nawet pozabijano lub poobwieszano na drzewach obok ludzi. Bo jeżeli nie było żywych ludzi w tej ponurej ruinie, to umarłych, a raczej niecnie pomordowanych, było kilku. Już na samym wstępie do wsi uderzył wjeżdżających Żwana, Lniskiego i Borutę straszny, rozdzierający duszą widok. Przy chacie, z której jeno zręby ostały i sterczało kilka opalonych belek, a z kupy gruzów migotało jeszcze krwawe zarzewie i rozwłóczył się smrodliwy dym dokoła, na kolku od płota sterczał wbity trupek rocznej może dzieciny. Dziecię było nagie, przechylone w tył, bo mu ostry kołek przebił na wylot brzuszynę... Widok był okropny tej niewinności tak niecnie zamordowanej. Dalej zaś, o parę ledwie kroków, na suchej gałęzi wierzby, którą wiatr miotał, chwiał się trup młodej, na pół obnarzonej kobiety wiejskiej, zapewne matki tego białego trupka na pal wbitego, chłostanego teraz zimnym, nocnym wiatrem listopadowym. Na spalonym zrębie chaty stał z wyciągniętą mordą niewielki, kudłaty pies i wył przeciągle.

Konie postępujących na przodzie wojska jeźdźców, chrapiąc i parskając, zatrzymały się niespokojne. Trup wiszącej kobiety chwiał się i obracał na wszystkie strony, miotany wiatrem, krwawo niekiedy oświetlany płomykami dogorywającej sąsiedniej chaty, a gałęź rosochatej, uschłej, obdartej z kory wierzby, skrzypiała za każdym ruchem obarczającego ją ciężaru. Kobieta miała zdartą chustkę z głowy i chustka ta zwieszała się w festonach na jej plecach, na jej zgrzebnej koszulinie, poszarpanej gwałtownie i obnażającej jej ręce i ramiona silne, jej piersi macierzyńskie, pełne, duże. Nagie nogi nosiły na sobie ślady krwi, a jedyna spodniczyna, także podarta, ukazywała kolana białe i twarde. Na twarzy młodej, nie pozbawionej swej piękności, twarzy, pokrwawionej pobryzganej błotem i podrapanej okrutnie, zastygł w szeroko otwartych źrenicach nieopisany wyraz grozy i bólu, rozpaczy i pomsty...

Na ten widok, cała kolumna wojska zatrzymała się. Lniski z twarzą bladą i pełną okropnego oburzenia zsiadł z konia i klęknąwszy na ziemi, począł głośno się modlić:

— Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków, Amen.

Potem wstał i dobywszy miecza, szedł swym ciężkim, drewnianym chodem ku chwiejącemu się trupowi matki. Mieczem przeciął sznur i przyjął w ramiona biedne, zimne, gnące się ciało kobiety. Opończę zrzucił ze siebie na śnieg, rozesłał ją i na niej ułożył tego trupa, starannie okrywając szczątkami koszuliny i spodnicy jej białe ciało niewieście. Potem milczący, straszny, szedł po wbitego na pal trupka dzieciny. Zdjął go ztamtąd, krwawe wnętrzności przytrzymując ręką i tak tego okropnego trupka, pokrwawionego i poszarpanego ułożył obok matki. Uczyniwszy to, wyprostował się, westchnął ciężko, obejrzał się dokoła i spytał na pół do siebie, na pół do patrzących na niego ze zdumieniem towarzyszy zwrócony:

— Gdzie tu cmentarz? Czy nikt nie zna tej wsi?

— Ja znam — ozwał się Wojtek, starszy nad chłopami.

Tedy Lniski rzekł:

— Weźcież te trupy i chodźmy na cmentarz. W poświęconej ziemi wykopiemy im mogiłę i pochowamy tam tę macierz i to jej dziecię, by ich krucy i wilcy nie jedli.

Potem, wyciągając obie ręce ku niebu, pokrytemu czarnemi chmurami, wołał swym ponurym, grobowym głosem:

— Oto dwudziestego już trupa chowam Panie Boże. Grabarzem się stałem i sam już cuchnę trupem. Ale Boże Abrahama, Izaaka i Jakóba, daj mi tę łaskę jedyną, bym się oto pomścić mógł za tę zbezczeszczoną macierz i za tego umęczonego jej synalka.

Wszyscy płakali, a Boruta krzyczał:

— Przysięgam na Boga, że każdy Szwed, który wpadnie w me ręce, pójdzie na gałęź. Krew za krew, ząb za ząb, oko za oko! Tak mi Boże dopomóż i Ty Przenajświętsza Trójco!

Tymczasem chłopi wzięli, uczyniwszy z kos nosze, zimne trupy i tak je nieśli przez wieś. Ale nie uszli i dziesięciu kroków, gdy napotkali na drodze leżącego trupa młodej dziewczyny, całkiem nagiego z roztrzaskaną kulą głową. Podnieśli i tego trupa i szli dalej, a Lniski przed nimi, w swym hełmie na głowie i z mieczem dobytym w ręku, szedł i śpiewał swym grobowym, jakby z trumny dobywającym się głosem:

„De profundis clamavi ad te Domine, Domine exaudi vocem meam fiant aures tuae intendentes in vocem deprecationis meae.”

Za tym ponurym orszakiem posuwało się dopiero wojsko w milczeniu, łkając tu i owdzie po cichu, szepcząc pacierze. Wszyscy szli z obnażonemi głowami. Boruta zeskoczył z konia i zdjąwszy swój kołpak z nagim mieczem posuwał się obok trupów. Bartek i Jagusia głośno płakali, a Lniski cicho, jednak wyraźnie śpiewał dalej swe psalmy pokutne.

Tak szli wśród zgliszczy wioski, wśród ciężkiej, dusznej woni spalenizny i co chwila napotykali trupy mężczyzn, kobiet i dzieci. Samych obwieszonych było sześcioro. Pochodem swoim spędzali gromady wron, które wieszały się nad temi trupami na gałęziach, kracząc głośno i ostrząc swe dzioby. W ogóle zebrano jedenaście trupów. Straszna groza powiała po wszystkich i we wszystkich sercach zawrzała chęć pomsty. Biada Szwedowi, który teraz dostanie się w ręce tych ponurych wojowników. Żwan z gołą głową, milcząc postępował za tym posępnym orszakiem grobowym. W jego umyśle wrzało wszystko, przewracało się, kotłowało jak w garnku. Zapomniał o swych uczuciach, swem sercu bolejącem, o kasztelance tęskniącej za nim w murach Dankowa, o jej liście ukrytym na piersiach, a myślał jeno o zemście. Tak! postanowił mścić się teraz na tych krwawych rabusiach szwedzkich, którzy naszli jego ojczyznę i mordują niewinne niewiasty i niewinniejsze jeszcze dziadki. Obudziła się w nim, uśpiona przez samolubne uczucie miłości ku kobiecie, miłość większa, szlachetniejsza, podnioślejsza, miłość nękanej okropnie ojczyzny.

— Nie spocznę, nie włożę miecza do pochwy, nie ujrzę jej nawet wprzódy, póki jedna noga szwedzka będzie na ziemi polskiej — przysięgał sobie w duszy, z mocnem niezachwianem postanowiem dotrzymania tej przysięgi.

Bartek, idący za nim z głową owiązaną, głośno płakał, ilekroć zobaczył nowego trupa.

— Pasy będę darł z tych zbójów — wołał—będę ścinał i wieszał i piekł na wolnym ogniu. Choćbym sam jeden ostał w całej Polsce, to Szwedów bić będę. Jak Pana Boga kocham bić będę. I ty Jaguś ze mną? prawda! Pójdziemy wszędzie, choćby na koniec świata za tem tałałajstwem, za morza i góry nawet. Niech się matusia gniewają, co mi tam! Gdyby jeno patrzali na to, na co my patrzymy, toby mi to sami nakazali czynić. O zbóje! o psy ostatnie, tak niecnie mordować niewinne dziateczki. Sam Herod by się ulitował a oni nie. No, niechże się teraz strzegą, bo i ja litować się nie będę, nie będę... A bisurmany, poganie, hajdamaki!... dam ja wam!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

NOWOŚCI TEATRALNE.

PRZEZ

T. J. Choińskiego.

Gomulicki. — Przybylski. — Gawalewicz. — Świętochowski. — Tomaszewicz. — Mellerowa i Galasiewicz, tak zw. dramaty francuzkie — reżyserya — wykonawcy — Lubowski.

(Dalszy ciąg.)

Najwięcej powodzenia „kasowego” miał w ubiegłym sezonie dramat, raczej melodramat ludowy, wykrojony przez panią Mellerową i p. Galasiewicza z powieści Kraszewskiego p. n. „Chata za wsią”.

Oprócz utworów nowych i dawniejszych, odnowionych w tem półroczu, wystawiła rezyserya kilka „sztuk” francuzkich, między któremi zajmują „Bezczelni” Augiera pierwsze miejsce.

Dramat francuzki, choć obiega cały świat teatralny, napełniając kieszenie autorów olbrzymiemi tantyemami i „robiąc kasę”, nie przetrwa swych twórców. Stoi on głównie robotą, techniką i płaskiemi komunałami, trafiającemi do przekonania przeciętnych widzów. Czystych tragedyi lub komedyi nie piszą już dawno autorowie dramatyczni.

Zamiast jasno określonych, wyraźnych rodzajów utworzyli sobie ówcześni fabrykanci teatralni mieszańce, pół komedyą i pół dramat i nazwali go sztuką (*pièce*). Trochę dowcipu zdawkowego, garść łez, czułości, zacny bourgeois, żeniący się z panną z arystokracyi, lub podły arystokrata, sprzedający tradycye swych przodków zbogaconej mieszczance, oto zwykła treść takich „sztuk”. Ożywia je pospolicie efektowna scenerya (stereotypowe bale, śluby, lub tym podobne sceny zbiorowe), nieco ruchu dodają im pojedynki, gorętsze przemówienia w salonie, a barwy głośniejsze frazesy.

Miernota nie przekraczająca życia powszedniejszego; nic więcej.

Groza, tragika, wielka namiętność, potężne uczucie, zeszły zupełn e ze sceny współczesnej. Zamilkł i śmiech serdeczny, lub atycki, ustąpiwszy miejsca ordynaryjnemu, pustemu, wywoływanemu dwuznacznikami tłustej farsy.

Wielkie masy nie wielbiły nigdy prawdziwej sztuki. Arcydzieła literatury, jakiekolwiek by one były, musiały się po wszystkie czasy zadawalniać uznaniem szczupłego grona znawców, lecz tak nizko, jak obecnie, nie zeszedł jeszcze smak publiczności.

Staliśmy się bardzo rozumnymi i trzeźwymi ludźmi, a jako tacy nie lubimy silniejszych wrażeń Nie uszlachetniać się, oczyszczać i podnosić chcemy się w teatrze, lecz zabawić się tanim kosztem. Nie znosimy utworów, nad którerni trzeba się zastanawiać, które pobudzają do myślenia, do trudu głowy i wzruszeń serca.

A przecież czas, aby autorowie znów zrozumieli, że nie są bawicielami tylko publiczności. Jeżli kiedy, to powinna sztuka właśnie dziś wrócić do szlachetnego stylu, do koturnów, do podniosłego słowa, do wielkich charakterów i gorących uczuć. Karłowaciejemy straszliwie z nadmiaru „trzeźwości”, marniejemy, więdnąc w kwiecie młodości, do ofiar niezdolni i poświęceń.

Czczość treści zastępują nowsi dramaturgowie tem, o czem Arystoteles pisał w swej „Poetyce” z lekceważeniem, jako o środku podrzędnym.

O efektowną sceneryę starają się dziś głównie pisarze, a o świetną wystawę reżyserowie.

Meiningeńczycy nauczyli Warszawę wystawiania sztuk teatralnych. Skorzystała od nich bardzo wiele nasza reżyserya.

Wystawa wszelkich sztuk, czy swojskich czy obcych, nie zostawia nic do życzenia. Zadawalnia ona nawet wybrednych smakoszów.

Więcej jednak, aniżeli za staranną wystawę, należy się naszej reżyseryi uznanie za chętne i skwapliwe popieranie nowości krajowych, choćby te nie zapowiadały pełnej kasy.

Autor uczy się komponować scenicznie, gdy ujrzy dzieło swe w blaskach kinkietów. A pierwszorzędna scena krajowa powinna być pewnym rodzajem szkoły. Że nasza reżyserya zrozumiała zadanie swe w tym kierunku, policzy jej kiedyś przyszły historyk teatru w rzędzie prawdziwych zasług.

Role pierwszorzędne spoczywały oczywiście i w tym sezonie w ręku przednich artystów, jak: Żółkowskiego, Ładnowskiego, Rapackiego, Tatarkiewicza, Ostrowskiego i Leszczyńskiego. Z sił młodszych wyrabia się ostatniemi czasy między innymi bardzo korzystnie pan Prażmowski, dobrze na przyszłość rokujący.

Z pań młodszych ujawniły znaczny postęp, pominąwszy p. Marcello, pp. Ładnowska i Lüdowa. Pierwsza należy do artystek, które choć nie odtworzyły dotąd z braku sposobności żadnej większej kreacyi, nie psują jednak nigdy roli. Pani Ładnowska obmyśla starannie każdą rzecz, wystudyuje każdy rys do najmniejszego szczegółu i wykona go zawsze poprawnie. Przy większej wprawie, zależącej od odpowiednich ról i częstszego grania, wyrobi się p. Ładnowska z czasem niezawodnie na dobrą artystkę dramatyczną poważnego stylu, gdyż posiada do tego wszystkie warunki.

Pani Lüdowa odznacza się głównie w rolach salonowych, lekkich, w komedyi francuzkiej. Dystyngowana to artystka, chłodna, pełna umiarkowania i spokoju. Panuje ona nad przedmiotem.

(Dokończenie nastąpi.)

Z OBSERWACYI ASTRONOMICZNYCH.

Wiadomo, że Ziemia nasza z księżycem, jest trzecią planetą rachując od słońca a czwartą Mars, najbliższy ziemi, który rozmaicie jest od niej oddalony czasem o 51 milionów mil geograficznych a czasem tylko o dziesięć milionów. Różnica ta w oddaleniu pochodzi ztąd, że obrót Marsa około słońca, trwa rok jeden i dni 321 według rachuby naszej, czyli blizko dwa lata ziemskie.

Gdy więc Mars jest po jednej stronie słońca a Ziemia po drugiej, wówczas odległość pomiędzy niemi wynosi 51 mil; gdy razem się znajdują po jednej stronie, odległość ta oznaczoną zostaje na mil tylko 10 milionów i wtedy badania Marsa z naszej malutkiej ziemi, są niezmiernie ułatwione.

Planeta ta stanowiąca siódmą część objętości Ziemi, otoczona atmosferą przy biegunach jest spłaszczoną, przy których morza podczas nocy trwającej przez pół roku tamtejszego rachunku, niewątpliwie powlekają się lodami topniejącemi za nadejściem dnia równie długiego.

Ponieważ Mars pod wielu względami jest wielce do ziemi podobny i jak powiedzieliśmy posiada atmosferę, od dawna więc przypuszczono, że jest zamieszkały przez istoty wielce do nas zbliżone. Być to bardzo może i dlatego to zapewne, gdy niedawno spostrzeżono na Marsie punkta jasne, świecące, poruszające się systematycznie, jeden z domorosłych astronomów w zbyt rozbujałej fantazyi zrobił wniosek, że muszą to być sygnały telegraficzne przesyłane przez mieszkańców Marsa pobratymcom swym na Ziemi zamieszkałym, a drugi doniósł, że już jest na drodze odczytania tych sygnałów.

W badaniu powierzchni Marsa, przekonano się, że lądy na nim ciągną się szerokiem pasmem po obu stronach równika a za niemi dopiero mieszczą się morza polarne.

Pasma te lodów poprzerzynane są licznemi rzekami.

Obecnie Schiapaselli astronom włoski, badając Marsa w porze jego zimy, obrachował, że obszar śniegów i lądów na południowej jego półkuli znajdujących się, obejmował rozciągłości 29 stopni w średnicy, czyli, że przestrzeń ta wynosiła przeszło 41,000 mil kwadratowych.

Po upływie pięciu tygodni, śniegi stopniały, bieliły już tylko na przestrzeni nie większej od półwyspu Skandynawskiego i zmniejszając się ciągle doszły wreszcie do plamy białej mającej już tylko 1,200 mil kwadratowych obszerności. Odtąd plama śnieżna zaczęła się powiększać w tym samym stosunku, co gdy malała i w porze zimowej Marsa doszła do dawnej swej wielkości.

Jeżeli więc widocznie na Marsie są śniegi i pory roku jak na Ziemi, jeżeli jest atmosfera do naszej podobna dlaczegóżby planeta ta miała być bezludną?

Przypuszczenie Flamaryona rozwijania się życia w całym wszechświecie na wszystkich gwiazdach, słońcach i planetach, poparte naukowem dowodzeniem, nabiera coraz większego prawdopodobieństwa.

WIADOMOŚCI

z pod naszej strzechy i z obczyzny.

Treść: Straszna katastrofa. — Amerykanin Polak. — Sny ludzi niewidomych. — Kobieta adwokat. — Wiadomość z Oszmiany. — Bukiet ślubny. — Dobra nowina. — Pan Adolf Bogucki.

Straszna katastrofa. W zeszłym tygodniu w domu przy ulicy Freta, bardzo wielkie nieszczęście dotknęło jego mieszkańców. Ludwik Sodak, stróż miejscowy poszedł po benzynę do komórki. Przyświecała mu sklepowa Sawicka, w tem nagle z rąk Sodaka wypada butla z benzyną. Przestraszona Sawicka upuszcza latarkę, płomień ogarnia benzynę, na obojgu zapala się ubranie, stróż z krzykiem wybiega na ulicę cały ogarnięty płomieniem, przechodnie uciekają przed nim i dopiero dorożkarz derą obciska Sodaka i zaprowadza do pobliskiego felczera.

Wszystko to działo się w ciągu kilku minut, a już pożar objął schody i w całej wysokości sieni przez trzy piętra utworzyło się jedno ognisko. Dla mieszkańców odwrót został zupełnie odcięty. Jedynem wyjściem okna.

Z fabryki Ewansa przynoszą drabiny, ale te do trzeciego piętra nie sięgają, mieszkańcy dolniejszych piętr uchodzą szczęśliwie, z trzeciego piętra lokator p. Kamiński, trzymając żonę za włosy spuszcza powoli na drabinę, którą chwyta woźny Fiedorow i zemdloną znosi na ulicę. Na drabinę wchodzi doktor Zaręba i zachęca pana K., aby mu dziecko spuścił na ręce. Ten wychodzi oknem, zsuwa się po murze na gzems drugiego piętra i lada chwila sam mogąc spaść, jedną ręką trzyma się kawałka ściany, drugą odbiera od pana Gronau przybyłego do nich w odwiedziny, poduszkę z niemowlęciem i oddaje ją czekającemu na drabinie doktorowi Zarębie.

Następnie p. K. dostaje się szczęśliwie do drabiny, p. Gronau zaś wyskakuje na ulicę i spada na idącego żołnierza, czem osłabiony w impecie ocala się od pewnej śmierci i tylko lekko rani się w czoło.

Ale straszniejszy dramat odbywał się między mieszkańcami trzeciego piętra od podwórza. Tutaj do ratunku drabin nie było. Pan Langfeld członek orkiestry teatralnej, związał prześcieradła i po nich spuścił całą rodzinę na rozesłane na podwórzu sienniki, gdyż prześcieradła nie sięgały do ziemi. W drugim mieszkaniu była tylko Zielińska żona pomocnika fryzyera teatralnego i ośmioletnia ich córeczka Zosia.

Mąż już poszedł do teatru, a biedna kobieta wychylona oknem nie widząc ratunku zrozpaczona najprzód wyrzuciła dziecko, a potem sama za niem wyskoczyła.

Dziewczynka na miejscu się zabiła, matka zraniona ciężko w drodze do szpitala umarła.

Oprócz tych dwóch ofiar, po ugaszeniu ognia znaleziono dwa zwęglone szkielety na trzeciem piętrze, w których poznano żonę pana Gronau i b. chórzystkę Barczową.

Gość z daleka. W tych dniach bawił w naszem mieście p. Jerzy Gresham, młody amerykanin, syn wysokiego dygnitarza w Stanach Zjednoczonych, sir Johna Greshama, generalnego dyrektora poczt.

Amerykański gość przez matkę z domu Łyskowińską, solidaryzuje się z polską narodowością nietylko przez samo urodzenie, lecz i przez zasady wszczepione przez zacną rodzicielkę.

P. Gresham doskonale mówi po polsku i niktby nie pomyślał, słysząc go rozmawiającego, iż pierwszy raz w życiu odwiedza kraj macierzysty.

Ale bo też za wpływem naszej rodaczki, cały dom dyrektora Greshama jest po polsku, a wszystkie dzieci mówią naszym językiem równie dobrze jak angielskim.

John Gresham z przywiązania do żony, nauczył się jej mowy rodzinnej i w niej z rodziną spowinowaconą koresponduje.

Głównym celem wyprawienia p. Jerzego Greshama, było zapoznanie go z rodziną matki, która młodem dziewczęciem wraz z ojcem p. Łyskowińskim kraj opuściła.

Gaść z zaoceanu zabawiwszy krótko w Warszawie pojechał w Lubelskie do rodzonego wuja matki a swego dziadka, który jest bezdzietny i pragnąłby p. Greshama zatrzymać w kraju na stałe.

Czy mu się uda to zrobić, wątpić należy, ale że obawa księcia Bismarka co do Polek i ich wpływu na otoczenie, nowym dowodem potwierdzoną została, to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Życzliwi i serdeczni przyjaciele, nazwą to zapewne, niepoprawnem marzycielstwem, przesadą, swawolą starych dzieciaków, czarną nawet intrygą, ale są prawdy, które kręć jak chcesz, a zawsze jak oliwa na wierzch wypłyną.

O snach ludzi niewidomych ciekawe opowiadał szczegóły superintendent schronienia dla tych nieszczęśliwych w Filadelfii, który sam postradał wzrok. „Nie czuję się obecnie”, mówił, „nigdzie szczęśliwszym, niż w krainie snów. Jeszcze nigdy we śnie nie widziałem się niewidomym; widzę wówczas tak dobrze, jak za dawnych lat. Podczas snu żyję bądź, co bądź, zawsze w moim zakładzie; ale widzę wszystkich, a co dziwniejsza, jakkolwiek nigdy w życiu w rzeczywistości żadnego z tych ludzi nie widziałem, twarze ich we śnie wydają mi się bardzo znajome”. Ludzie tracący wzrok w skutku choroby czy wypadku, zawsze podlegają we śnie opisanym powyżej wrażeniom. Inaczej rzecz się ma z niewidomymi od urodzenia; ci nigdy nie widzą podczas snu, jak niejednokrotnie zeznawali. Słyszą oni śniąc, muzykę, głosy znajomych osób, śnią też o zajściach, jakie miały miejsce w zakładzie. Rzeczy i miejscowości, znane im tylko z opisów, nie ukazują się im nigdy podczas snu.

Kobieta-adwokat. Przed kratkami jednego z sądów gminnych, w pow. Tomaszewskim, gub. Lubelskiej, niedawno, jak donosi „Gazeta Sądowa”, stawała kilkakrotnie w charakterze obrońcy, ze strony powoda, młoda panienka, legitymująca się pokładanem pełnomocnictwem, odpowiednio zalegalizowanem do prowadzenia wszelkich spraw powoda, jednego z bogatszych właścicieli ziemskich. Młoda adwokatka nader sympatycznej powierzchowności, wykazała nietylko odpowiedni zasób wiadomości prawnych, ale nadto i wielkie zdolności oratorskie. Zawsze jej udało się zwycięzko pokonać przeszkody i wygrać sprawę. Podobno jednak sąd gminnny wystąpił z zapytaniem do zjazdu: czy płeć zaimprowizowanej adeptki Temidy nie stoi pod względem prawa na przeszkodzie przyjętym przez nią zobowiązaniom?

Oszmiana, 2 Kwietnia. (Koresp. „Kraju”). Pożądany wielce i piękny przykład samopomocy dała nam tu świeżo jedna z przedstawicielek okoliczne-

go obywatelstwa, pani K. S. Zjechawszy na stałe mieszkanie do naszego powiatowego miasteczka, rozpoczęła energiczną działalność na polu mało, prawie wcale dotąd nietkniętem przez t. z. klasę uprzywilejowaną. Pierwszym owocem tej śmiałej i ruchliwej pracy było założenie bezpłatnej pracowni kroju i szycia dla niezamożnych dziewcząt z mieszczaństwa i szlachty okolicznej. W obecnej chwili już dwanaście takich dzieweczek kształci się na biegłe modniarki i szwaczki pod kierownictwem opłacanej przez panią S. nauczycielki i pod jej osobistym dozorem. Postęp, jak widać z wykonywanych robót: koszul, sukien i t. p., nie każe na siebie czekać: prace, mówiąc nawiasem dobre i tanie, idą na sprzedaż, a dziewczętom zostaje w czystym zysku gruntowna i praktyczna umiejętność. Nie poprzestając na tem, pani S., nie zląkłszy się wszechpotężnej konkurencyi żydowskiej, założyła tu dwa sklepy z kolonialnemi i spożywczemi towarami. Obrót, popierany przez okoliczną głównie klijentelę, rozwija się pomyślnie i dzielnie kładzie tamę semickiemu monopolowi. Tak dobry przykład i praktyczne dający rezultaty powinien znaleźć naśladowców. *Cz. J.*

Bukiet ślubny stał się w tych dniach w Paryżu powodem zerwania małżeństwa między panną Blanką Barlot, córką kupca, a urzędnikiem, panem Marat. Zaproszeni goście byli już zebrani na gody weselne, gdy wszedł pan młody i przystąpiwszy do narzeczonej, ofiarował jej bukiet z białych kamelii. Panna młoda, rzuciwszy spojrzenie na kwiecisty podarek, cisnęła go w kąt, wołając zoburzeniem:

„Nie poślubię pana, gdyż jesteś skąpcem; ten bukiet kosztował najwyżej dziesięć franków. Taki wiecheć daje się chórzystce, ale nie narzeczonej!"

Próżnemi były wszelkie zapewnienia ze strony pana młodego, że bukiet jest drogi, lecz tylko niezręcznie uwinięty, próżnemi były perswazye rodziny; panna młoda zamknęła się w swoim pokoju, zkąd wyszła po dziesięciu minutach w zwykłej sukni domowej i z uśmiechem zapraszała gości, aby raczyli spożyć przygotowany obiad.

Odpalony pan młody, przełożywszy sobie spokojnie całą tę sprawę, chyba jako relikwie chować będzie niefortunnie wyglądający bukiet, który go od tak miłej żonki ochronił.

Dobra nowina. Gazety już donosiły o zamiarze hrabiego Ludwika Krasińskiego, co do wprowadzenia między Kurpiów nowego przemysłu, a mianowicie wyrobu spinek i guziczków z masy perłowej. Dziś możemy donieść, że zamiar ten został już wykonany. Robotnicy z Czech sprowadzeni, przez dyrektora fabryki grzebieni inżeniera Surowicza, przygotowali w Warszawie kilku instruktorów i razem z nimi wyjechali do Kadzidła, zabierając z sobą potrzebne narzędzia. Tam znaleziono uczniów tak pojętnych i chętnych, że po trzytygodniowej wprawie, mogą już pracować przy tokarniach i wyrabiać spinki. Wedle twierdzenia specyalisty owego czecha, robotnicy czescy dla dojścia do takiej samej zdolności w pracy, potrzebowaliby, co najmniej trzechmiesięcznego ćwiczenia. Dodać nam wypada, że w Warszawie przygotowuje się obecnie odpowiednia liczba warsztatów i że niebawem fabrykacya zatrudniać będzie około setki ludzi.

Dodajemy jeszcze jeden fakt pocieszający, a mianowicie ruch pomiędzy ludem wiejskim, wywołany otworzeniem nowej gałęzi zarobku i prośby wnoszone przez mieszkańców sąsiadujących z Kadzidłem, aby i ich przypuścić do nauki i do udziału w fabrykacyi spinek.

P. A. Bogucki, znany od dawna i pracujący wytrwale i z pożytkiem na obranej drodze, który świeżo założył pierwszą rozwijalnię jedwabiu krajowego za rogatkami Belwederskiemi, urządza znowu z kolei bezpłatne kursa jedwabnictwa.

Podczas takiego, trzymiesięcznego kursu, słuchacze będą mogli obeznać się dokładnie z hodowlą drzew morwowych i z samym wyrobem jedwabiu.

Nie wiemy, czy jedwabnictwo praktyczne, jako gałęź przemysłu, ma u nas szerszą przyszłość przed sobą, w każdym razie jednak, może ono tworzyć, za pomocą rozwiniętego zamiłowania, jakieś pożyteczne zatrudnienie dla pewnej części ludzi szukających pracy. Otóż, p. Bogucki, szerząc wytrwale takie zamiłowanie, choćby własnym przykładem i przysposabiając pracowników fachowych dla tego rodzaju przemysłu, już tem samem oddaje społeczeństwu usługę, godną uznania.

Wspomniane kursa jedwabnictwa, odbywać się mają w jego zakładzie, w Sielcach, tuż pod Warszawą, dokąd też kandydaci zgłaszać się powinni.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

Do niezliczonych wystaw artystycznych i przemysłowych, jakie zajmują Paryż w tej porze roku, przybyła jedna jeszcze w szczególny sposób zajmująca dla Paryżanek. Urządził ją w dniu 8 Maja, sławny Feliks, który dostarcza strojów na wszystkie europejskie dwory i ubiera całą arystokracyą paryzką, tak rodową jak finansową. Przedmiotem wystawy, były suknie wykonane dla księżniczki orleańskiej Amelii, zaręczonej z księciem Braganza, następcą portugalskiego tronu. Korzystając ze sposobności, poszliśmy na tę wystawę i widzieliśmy bajeczne dziwy z Tysiąca i jednej nocy. Posyłamy opis tych strojów czytelniczkom naszem. Wprawdzie naśladować ich niepodobna; dadzą one przecież jakieś pojęcie panującej dziś mody, a w niektórych szczegółach, co do modnych kolorów, co do kroju i przyjętych ozdób, mogą posłużyć za wskazówkę.

Suknia ślubna księżniczki z gładkiej materyi białej, odznacza się nadzwyczajną długością trenu i wytwornością zasłony koronkowej. Stanik pod szyję, skromnie tylko przybrany gałązką kwiatu pomarańczowego.

Na wjazd do Lizbony, księżniczka ubierze się w narodowe kolory portugalskie, biały z jasno błękitnym. Kostium na ten dzień, krótki, z mory turkusowej: spódniczka zakończona u dołu płaską riuszą z materyi błękitnej i koronki. Na to bluzka z sycylianki białej, ogarnirowana koronką, obciśnięta błękitnym paskiem, kapelusik turkusowy, naszyty białym dżetem, przybrany białemi różami. Parasolik biały koronkowy.

Suknia na wielkie przyjęcie dworskie, atłasowa w kolorze perłowym, przód cały zarówno jak stanik nagarnirowany koronką brukselską. Od stanu spada długi tren z brokateli w wielki deseń, w perłowym kolorze. U dołu tego trenu szeroki wolancik koronkowy, a nad nim riusza przypinana różami.

Ubranie do powozu. Spódniczka lilla morowa. Bluzka lilla *crèpe de chine.* Kapelusik związany pod brodą, z leciuchnej słomki, przybrany gałązkami bzu lilla.

Suknia wieczorowa biała jedwabna, na wierzch upięta draperya z białej *crèpe de chine.* Stanik wycięty, zasznurowany z przodu. Szelki nagarnirowane koronką, przechodzą przez ramiona; poniżej pleców i z przodu na bawecie, łączą się razem tworząc chusteczkę.

Suknia balowa. Spódniczka krótka z materyi blado różowej. Rozniesiste draperye ogarnirowane w drabinkę złotą frendzelką. Stanik wycięty odpowiednio przybrany.

Suknia na rano w formie *princesse,* z lekkiego pluszu błękitnego, otwarta szeroko. Przód spódniczki i stanika, z materyi błękitnej, nagarnirowany raz nad razem koronką *valencienne.*

Suknia do ogrodu, z muszlinu wełnianego w odcieniu śmietankowym, zasiana w rzucik z różowych kwiatków. Stanik przymarszczony (*a la vierge*), zdobny trzema wstawkami z walansienki. Kapelusik okrągły ze słomy brunatnej, przybrany koronką i bukietem goździków.

Pomijamy inne suknie panny młodej, a przytaczamy za to wspaniałe stroje królowej Maryi Pii, młodej jeszcze matki narzeczonego.

Ubranie na dzień ślubu. Suknia aksamitna jasno niebieska, haftowana perłami i brylantami. Płaszcz dworski, przypięty do ramion, z ciemniejszego aksamitu, tworzący długi tren, cały zahaftowany w białe róże.

Suknia do powozu. Na spódniczce z aksamitu w kolorze heliotropowym, upięta draperya z białej *crèpe de chine,* zahaftowanej w goździki różowe z pąsowem, nato westka aksamitna hiliotropowa, otwarta z przodu, z pod otworu wybiega draperya bufowana, z białej *crèpe de chine* w goździki.

Kostium na wyścigi konne w Lizbonie. Spódniczka aksamitna w kolorze mchowym, na wierzch tiunika z białej blądyny, westka aksamitna otwarta z przodu, na bufowanym plastronie blądynowym. Kapelusz okrągły, z szerokim, odwiniętym brzegiem, popielaty w srebrnym odcieniu; przybrany pękiem piór mchowych, i bukieciekiem róż (*roses the*).

Ubranie balowe. Spódniczka tiulowa, zahaftowana w gałązki białego bzu: powłoka z białej brokatelli. Stanik z takiejże materyi, przybrany draperyą tiulową.

Dajemy tu nakoniec opis, sukien hrabiny Paryża, matki księżniczki Amelii.

Ubranie na dzień ślubu. Suknia aksamitna w wybijany deseń, koloru *Ibis,* różowo złotawego. Powłoka bardzo długa z gładkiego aksamitu, w tym kolorze. Przód cały zahaftowany białym dżetem. Stanik wycięty, z aksamitu w deseń przybrany koronką, równie jak i powłoka.

Suknia obiadowa z ciemno zielonego aksamitu, naszyta cała dżetem, w szmaragdowym kolorze.

Sama suknia obiadowa, aksamitna w pasy cieniowane, od purpurowego do ognistego koloru, przód naszyty dżetem rubinowym. Stanik wycięty, również zahaftowany dżetem.

Suknia balowa, z białego *gros de Tours,* cała zasiana w róże rozmaitych kolorów. Przedni bryt gładki biały, cały naszyty frendzelkami z dżetu różowego. Stanik z materyi w bukiety, ozdobiony takiemiż frendzelkami.

Ubranie na operę. Suknia morowa, błękitnozielonkowata (*bleu dulac*), tiunika ze starej weneckiej koronki. Stanik morowy, przybrany koronką

i pękami pukli, ze wstążki w odpowiednim kolorze.

Suknia wizytowa, z sycylianki popielatej w odcieniu srebrnym. Na to idzie długa draperya złożona z trzech części: jedna część w odcieniu srebrnym, druga w stalowym, trzecia w ciemno żelaznym. Spadające poły tej draperyi, objęte u brzegu złotym i srebrnym galonikiem. Stanik zarówno w trzech odcieniach, przybrany odpowiedniemi galonkami.

S. D.

Z dziedziny humorystycznej.

Wzmagające się w Prusach troski nawet w sferach zamożniejszych, wcześniej się tam uwidomiły niż przewidywano. Polityka p. Bismarka może być brzemienną w arcymądre następstwa, mogą plony z niej kiedyś zdumić świat cały, ale dziś względem Poznańczyków jest barbarzyństwem rozszalałej niby cywilizacyi. Żal nam rodaków ale żal i owych milionów, gniecionych twardą ręką żelaznego księcia. Polityka ma swoje prawa ale i ludy nie są ich pozbawione a ileż to kołków struże się na ich głowach codziennie.

Jednym z tych kołków najbardziej dokuczliwych dla przemysłu niemieckiego, jest fakt stwierdzony na komorze tutejszej, że dowóz do nas towarów z Niemiec zmniejszył się przeszło o połowę w ciągu zeszłego roku.

Sprawili to niegrzeczni fabrykanci i kupcy tutejsi, którzy obecnie potrzebne im towary sprowadzają z Francyi i Anglii, a nawet ze Stanów Zjednoczonych Ameryki, byle nie z Pruss.

Strata targowiska jakiem dotąd byliśmy dla Niemiec, to klęska wielkiej wagi, dlatego też z obawy, aby nie spadła i na miejscowości kąpielowe, zarząd miasta Landek na Szlązku pruskim, wystosował do wszystkich redakcyi pism tutejszych, następującą odezwę i to w języku polskim napisaną:

„Rozeszła się wieść, która wcisnęła się do polskiej i rossyjskiej prasy, jakoby Polacy, zwiedzający w tem lecie kąpiele w Prusach, mieli być narażeni narozmaite nieprzyjemności.

Oświadczamy urzędownie, że wieści te najmniejszej nie mają podstawy, że władze nasze żadnych w tym względzie nie wydały rozporządzeń i że szanowni goście z Polski i Rossyi, jak dotąd, tak i teraz bez wszelkiej obawy, nasze kąpiele zwiedzać mogą.

Szanowną Redakcyę upraszamy uprzejmie o łaskawe umieszczenie w swych łamach niniejszego oświadczenia".

(Za magistrat i zarząd policyi
podp. *Birke*.)

Pod odezwą tą „Kuryer Poranny" zrobił następujący dopisek:

Jaką moc uczuć zwykło budzić w człeku,
Pustej kieszeni marne płótno gołe,
Dowodzi burmistrz pruskiego Landeku,
Gdy słodko brzmiącą szle nam epistołę, —
Gdy nas uprzejmie w progi Pruss zaprasza,
Na płonność wieści gdy wymownie sarka,
I podejrzenia wszelkie gdy rozprasza,
O gościnności współziomków Bismarka.
Szanowny mężu, w liście twym — bez lupy,
Dopatrzeć można jasno i wyraźnie,
Że się boicie, by wasze chałupy,
Pustką nie stały — choć strojne pokaźnie.
Czemuż grać nie chcesz na otwarte karty,
W wstrętnej wam mowie ckliwe krztusząc słówka?
Cny panie Birke! — bądź raczej otwarty,
I napisz — że nasza gotówka,
Jest wam tak miłą — tak cenną na świecie,
Że dla niej nawet jesteście gotowi,
Pisać po polsku — i chorych przyjmiecie, —
Ale — do dyabła niechaj idą zdrowi! —

* * *

Salomonowe zdanie.
Na herbatce komentowano obszernie znany frazes Hamleta:

Jeden się z gości odzywa:

— Istotnie, że wobec ustawicznej walki z przeciwnościami, z losem ciągłych cierpień, przechodzących nasze siły, nie wiadomo co lepiej, czy żyć, czy też nie egzystować zupełnie.. A pani jakiego jest zdania? — pyta gość zwracając się do jednej z pań.

Ta po chwili namysłu:

— Co do mnie, to wszystko jedno, żyć albo nie żyć, aby tylko Pan Bóg dał zdrowie i dobry byt.

Wszyscy obecni zgodzili się zupełnie z tak mądrem zdaniem.

* * *

Naiwna Kasia. Państwo *** przyjęli przed kilku dniami mamkę, młodą wiejską kobietę, która pierwszy raz znalazła się w wielkiem mieście. Pani *** nie mając się kim wyręczyć a pragnąc rozmówić się z mężem, poleca Kasi poprosić pana. Mamka po chwili wraca cała drżąca, wystraszona i powiada: „Proszę pani, stało się nieszczęście. Pan zwarjował." Można sobie wyobrazić, jak oznajmienie to oddziałało fatalnie na chorą kobietę. Zebrawszy wszystkie siły, pyta mamkę, z czego to wnosi. „A bo kiedy weszłam, pan kazał mi być cicho, stanął przy ścianie, co siły dzwonił i dzwonił... później zaczął gadać do ściany, a ja uciekła...

* * *

Kupić, wydzierżawić lub się ożenić. Następujące ponętne ogłoszenie zamieszcza jedno z pism niemieckich: „Z powodu śmierci męża pragnę sprzedać lub wydzierżawić mój wiatrak w Terschnow. Ponieważ mam córkę, mogę oddać ją za żonę porządnemu człowiekowi, któryby dostał wiatrak w posagu". O wygodniejsze warunki trudno.

* * *

Dobre małżeństwo.
— Czy to prawda, co mówią o tobie, że jesteś pod pantoflem u twojej żoneczki?

— Prawda, ale i ona musi za to tańczyć, jak zagram.

— A to jakim sposobem?

— Bardzo prostym, ona tańczy w balecie a ja gram w orkiestrze.

* * *

W magazyniu damskim.
Żona. Ta materya jest cudowną i muszę jej wziąć całą sztukę na kostyum!

Mąż. Ależ moje dziecko, nie miarkujesz się z naszymi środkami! Nie będziemy mieli co jeść!

— Więc cóż? O tem przecież nikt nie będzie wiedział.

* * *

Trafna odpowiedź Niedawno w pewnem towarzystwie, młody człowiek pragnący uchodzić za postępowca, w rozmowie z panną D. rzekł do niej:

— Twierdzić nigdy nic nienależy, czego nie można dowieść, a któż mi dowiedzie że jest Bóg?

— To dowodzenia nie potrzebuje bo tylko osieł może o tem wątpić.

Młody postępowiec cokolwiek zmieszał się, odchrząknął i po chwili dopiero zapytał:

— Czy to pani do mnie stosuje?

— Zkądże takie przypuszczenie? Stosuję to tylko do osła, odrzekła panna D. z najobojętniejszą minką.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 8 Мая 1886 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (nowy 26).

Opis do N-ru 21.

N. 1. Trzewik (sabot) drewniany jako koszyczek do kwiatów.

N. 2. Kapotka z podniesionem rondkiem.



N. 1. Trzewik (sabot) drewniany jako koszyczek do kwiatów.

Główka z żółtawo-białej materyi, ułożona jest w drobne kontrafałdki; rondko 5 cent. szerokie marszczone na druciki, z przodu nad czołem wysoko podniesione i podgarnirowane sutą riuszą tiulową, przepinaną pukielkami z wąziutkiej wstążeczki. Zwierzchnie przybranie ułożone w kształcie rozet ze wstążki i 5 cent. szerokiej koronki; końce do wiązania 3 cent. szerokie.



N. 2. Kapotka z podniesionem rondkiem, dla małej dziewczynki.

N. 3. Kapelusik okrągły z główką szpiczastą.

Pleciony z ponsowej słomki, ma 17 cent. wysoką główkę i rondko 5 cent. szerokie, podszyte ponsowym aksamitem i z jednego boku wywinięte. Szeroka wstążka ottoman, opasuje główkę i w duże pukle upięta stanowi przybranie dane z boku podług ryc. 3.



N. 3. Kapelusik słomkowy ze szpiczastą główką.
N. 4. Kapelusik słomkowy z wysoką główką.

N. 4. Kapelusik okrągły.

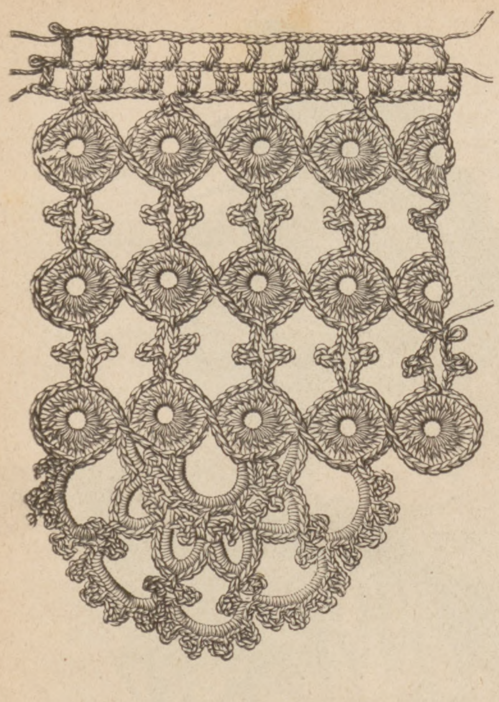
Pleciony z grubej bronzowej słomki ma główkę 14 cent. wysoką a rondko 5 cent. szerokie, 9 cent. szeroka wstążka bronzowa, w połowie aksamitna, w połowie przezroczysta gazowa i 7 cent. szeroka blado-niebieska atłasowa wstążka użyte są na wysoką kokardę z pukli.



N. 5. Ubranie strojne wizytowe. N. 6. Ślubne ubranie. N. 7. Ubranie wizytowe z pelerynką.

N. 5. Ubranie strojne wizytowe.

Strojna suknia na zebrania wieczorne, odrobiona była z gładkiego aksamitu niebieskiego i deseniowego piaskowego. Draperya z przodu ułożona w fałdy spływające skośnie, z tyłu składa się z brytów prostych, a z prawego boku szeroko otwarta, odsłania klin z deseniowego materyału u góry zmarszczony, u dołu zakończony wolantem z ciężkiej jedwabnej materyi piaskowej, przysłoniętym frendzlą szmuklerską 35 cent. szeroką. Stanik bawetowy z ranwersami, dopełniony szmizetką z kolorowego tiulu ma oryginalne rękawy sięgające do łokci, przecięte zwierzchu i złączone bufą tiulową przewiązaną kokardami.



N. 8. Koronka szydełkowa.

N. 6. Ubranie ślubne.

Suknia jedwabna z długim, u dołu prosto ściętym trenem, z gładkiemi brytami bocznemi, szeroko otwarta z przodu odsłania bryt fartuszkowy, bogato haftowany białemi szmelcowanemi perełkami; dolny brzeg wycięty w zęby spada na wolant atłasowy, ułożony w kontrafałdy. Krótki, staniczek zapięty na kryte haftki ma przody fałdowane, przybrane w środku plastronem haftowanym odpowiednio do sukni. Kokardy przy kołnierzyku, rękawach i z jednego boku wzdłuż sukni. Bukiety z kwiatu pomarańczowego.

N. 7. Ubranie spacerowe.

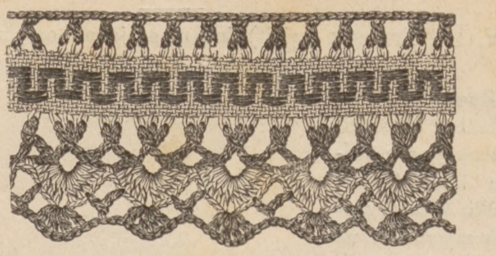
Spódnica z bronzowej faille, ułożona w szerokie kontrafałdy ma z jednego boku wązki klin nagarnirowany drobniutko plisowanemi falbaneczkami, zachodzącemi brzegiem na siebie; zakończenie garnirunku stanowi wzdłuż sukni naszyta pasmanterya dżetowa. Krótka draperya przednia sfałdowana à panier, podchodzi pod bryt tylny, suto w górze podpięty podług ryc. 7. Jako okrycie do wyjścia, włożona pelerynka tiulowa suto naszyta świecącemi perełkami, podszewkowana materyą. Kapotka z aksamitu, koronki z perełkami i piór.



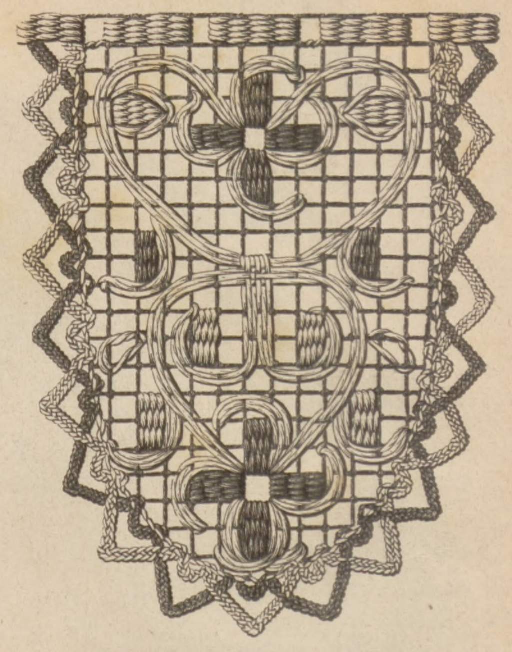
N. 14. Paletocik dla dziecka. Patrz. ryc. 15.

N. 8. Koronka szydełkowa.

Skrócenia o. oczko; sł. słupek; o. pow. oczko powietrzne. Odrobiona z niebielonych dość grubyc nici służyć może do przybrania sukien letnich; nie dodając zębów dolnych, lecz oba brzegi obrobiwszy dwoma rzędami słupków, otrzymamy ładną wszywkę. Środek koronki robi się poprzecznie w sposób bardzo łatwy; kółeczka robią się w dwóch rzędach jak to widać z brzegu na ryc 8, od jednego kółka do drugiego w górze robić 12 o. pow. Każde kółko zaczyna się w środku kółeczkiem z 6 —8 o. pow., w które w pierwszem i w drugiem obrobieniu zajmuje się po 10 sł., jako pierwszy sł. robi się 2 o. pow. Odstępy między kółkami stanowią: 2 o. pow., 1 pikot i znowu 2 o. pow. W trzecim rzędzie roboty, po skończeniu połowy ostatniego kółka, zaczyna się ząbek dolny. najpierw łańcuszkiem z o. pow. a następnie obrobieniem o. śc. zajmowanemi za cały łańcuszek. Dalsze rzędy ząbków przybywają stopniowo przy robocie dalszych kółek; obliczyć robotę można łatwo podług ryc. 8.



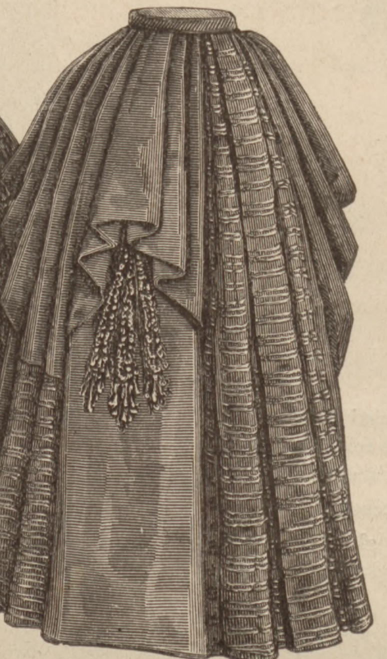
N. 9. Ząbki szydełkowe z kolorowej bawełny, przyrobione do kanwowej tasiemeczki.



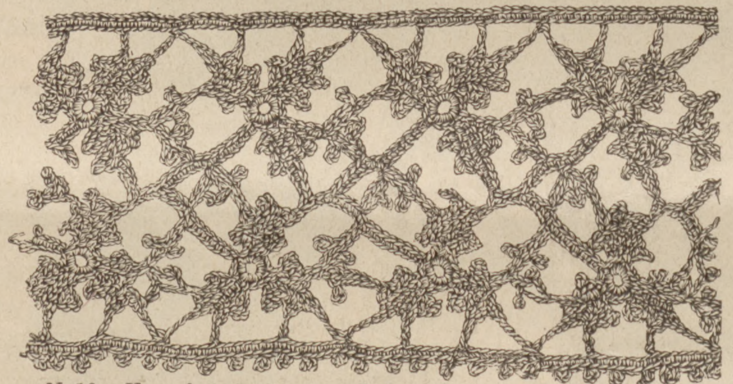
N. 11. Ząbek siatkowy z wyszyciem kolorowem i obrobieniem na klockach. Napięcie deseniu patrz ryc. 34.



N. 12. Suknia przybrana koronką.



N. 13. Suknia z dwojakiego materyału.



N. 10. Koronka szydełkowa. Robotę listka szydełkowego patrz na ryc. 26 w N-rze 20.

N. 12. Suknia oszyta koronką.

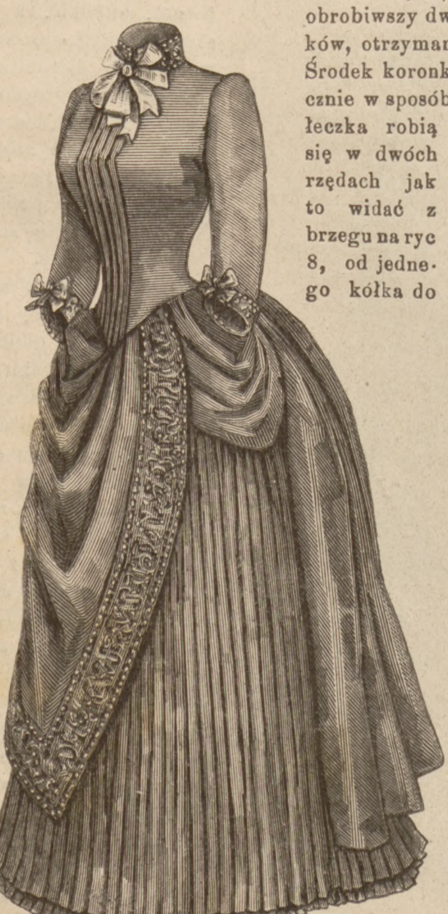
Odrobiona z wełnianej czerwonawo-bronzowej, ażurowej etaminy, w pasy z rzuciku żółtawo-bronzowego, przybrana czerwonawo-bronzowym jedwabnym repsem użytym na plisowanie i szeroką plisę w około sukni, przykrytą zwierzchu koronką ręczną lub fabryczną. Długa suta draperya podpina się podług ryc. 12.



N. 15. Paletocik dla dziecka patrz ryc. 14.

N. 13. Suknia z dwojakiego materyału.

Zestawienie dwóch materyałów ciągle utrzymuje się w modzie; rycina 13 przedstawia suknię z materyału w pasy dane poprzecznie np. reps jedwabny bronzowy, w pasy białe i gładki dyagonal ciemno-bronzowy. Spódnica podszewkowa pokryta jest z przodu brytem w pasy, złożonym w kontrafałdy, z boków idą bryty w pasy szeroko plisowane, oddzielone od przodu szeroką kontrafałdą z gładkiego materyału. Draperya z gładkiego materyału ułożona w zupełnie nowym guście, na płaskiej kontrafałdzie tworzy potrójną kontrafałdę, wa-



N. 16. Suknia ze stanikiem z baskiną.



N. 17—18. Suknia z draperyą odmiennie z boków podpiętą.

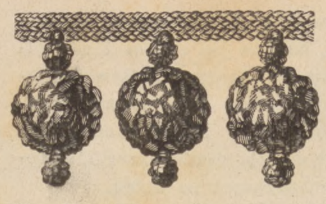


N. 19. Suknia z fałdowaną spódnicą.

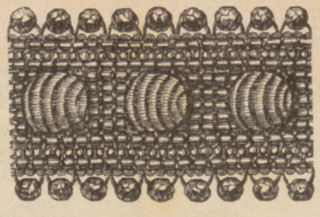


N. 20. Suknia z długą tuniką. Patrz ryc. 33 w N-rze 20.

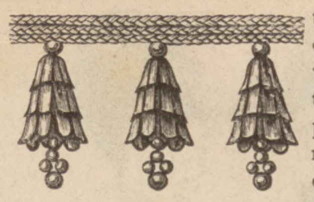
chlarzowo złożoną ku górze, z boków zaś dane plisowanie stopniowo skrócone do tyłu. Z tyłu upięcie z brytów gładkich, złożonych w głębokie fałdy, spadających gładko do dołu i dopełnionych brytem w pasy, danym przez środek brytów i suto podpiętym. Z pod dwóch fałd wachlarzowych spadają bogate kwasty szmuklerskie z perełkami.



N. 21. Frendzla z okrągłych grelotek.



N. 23. Pasmanterya z drewnianych perełek.



N. 22. Frendzla z grelotek w kształcie dzwoneczków.

N. 14—15. Paletocik dla dziecka. Krój jak do ryc. 1 i 12 w N-rze 6 Tygodnika mód.

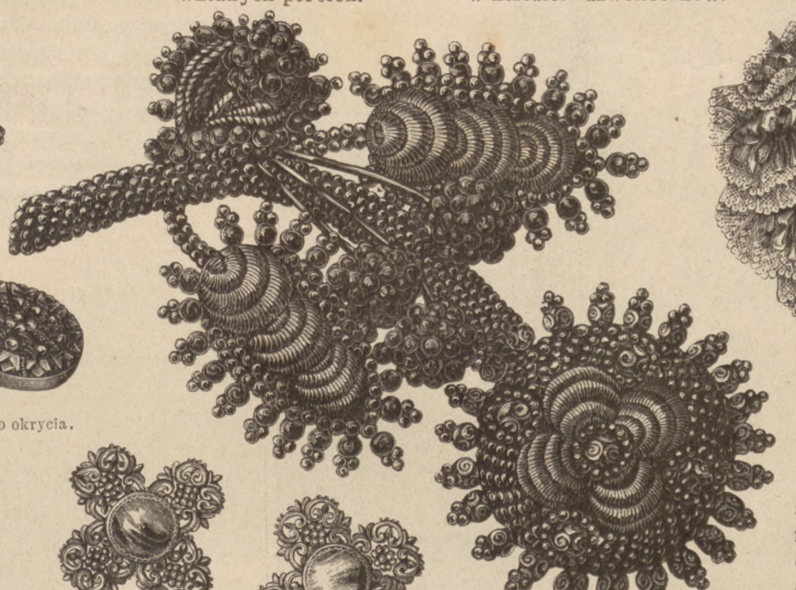
Stanikową górną część paletocika krając podług powyżej wskazanej formy, trzeba zmienić w prawej połowie przodu, przymarszczonej i zachodzącej na bok; dolną część spódniczkową kraje się oddzielnie albo też w jednym ciągu jak na ryc. 14, przedstawiającej paletocik z szewjotu, zdobny aksamitem. Rycina 15 daje przód paletocika z czerwonawej flanelki, zapiętego na guziki z konchy perłowej i przybranego koronką szydełkową zwróconą w górę u dołu. Pasek z wstążki atłasowej związanej z boku w kokardę.



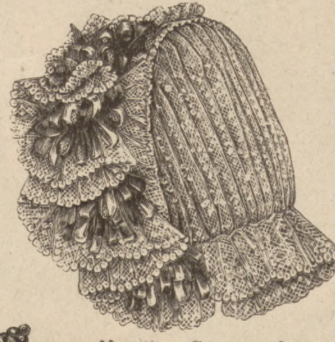
N. 30. Czepeczek z haftem wschodnim.



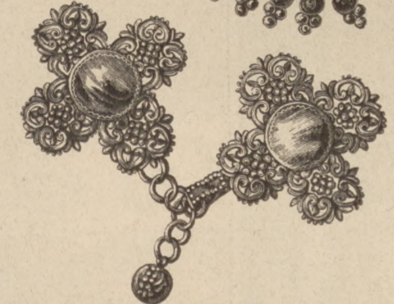
N. 25. Guzik do okrycia.



N. 24. Pasmanterya w kształcie gałązki do przybrania okryć.



N. 31. Czepeczek tiulowy.



N. 26. Agrafka ozdobna do okryć.

N. 16—19. Suknie letnie.

N. 16. Suknia ze stanikiem z baskiną.

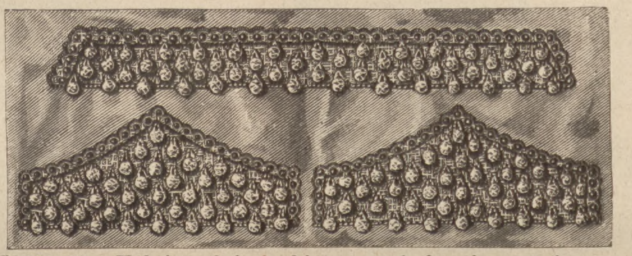
Model ten odpowiedni do kretonów lub wyrobów wełnianych z pasowanemi szlakami. O ile widoczna z pod draperyi, spódnica zaplisowana w drobne fałdy, zakończona u dołu wązką falbanką; przednia draperya fartuszkowa, zebrana skośnie ku prawej stronie, z lewego boku dopełniona maleńką bufką à panier. Tylne suto nafałdowane bryty lekko podpięte. Stanik z krótką baskiną, zapięty na kryte haftki, przybrany plisowaniem wzdłuż przodów.



N. 32. Sukieneczka wycięta.

N. 17—18 Suknia z draperyą odmiennie z boków upiętą.

Rycina 17 i 18 przedstawia przód i plecy sukni z granatowej etaminy, przybranej tegoż koloru fularem w kolorowe pasy lub rzucik. Draperya przednia składa się z bryta gładkiego materyału suto nafałdowanego, u dołu zaokrąglonego, na środku przodu podług ryc. 18 podpiętego w pukiel; lewy brzeg boczny ściśle sfałdowany, zachodzi pod upięcie à panier, prawy brzeg boczny zachodzi pod bryty tylne. Upięcie tylne układa się podług ryc. 17 z bardzo długiego bryta gładkiego materyału podszytego fularem. Panier widoczne na ryc. 18 ułożone z szalowo zarzuconego bryta fularu, z lewego boku podtrzymanego trzema gładkiemi przepięciami, dalej zachodzącego na bryt tylny i sfałdowanego w pukle podług ryc. 17. Stanik z otwartemi przodami ma kamizelkę drobno zaplisowaną z kawałka fularu 68 cent. szerokiego, u dołu podwiniętego w bufę 10 cent. szeroką, na której krzyżują się końce szalowe z gładkiego materyału, w górze 19 cent. szerokie, do dołu zwężone. Baskina pleców ścięta w dwie patki po 5 cent. szerokie, dopełniona jest karoczkiem fularowem. Kołnierzyk 6 cent., mankiety 8 cent. szerokie mają z wierzchu na środku wykrój 3 cent. szeroki, 5 cent. długi, zapełniony marszczonym fularem.



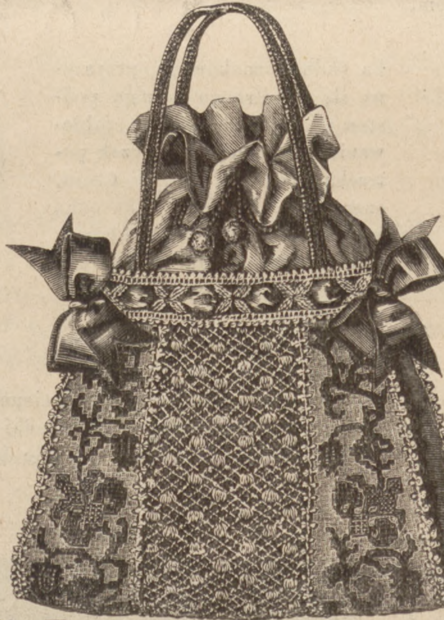
N. 27—29. Kołnierzyk i mankiety z grelotkami ze świecących perełek.

N. 19. Suknia z fałdowaną spódnicą.

Na taki układ spódnicy nadaje się każdy gładki jedwabny lub wełniany materyał, odpowiednia do tego torsadka $2^1/_2$ cent. szeroka i rozety po 22 cent. długie są ze szlifowanych lub drewnianych perełek. Spódnica z jednego boku złożona w dwie kontrafałdy, przedzielone płaskiemi fałdami, z drugiego lekko podpięta nad falbaną plisowaną 52 cent. szeroką, tyłu ma bryty fałdziste nie podpinane. Stanik ma krótkie otwarte przody odwinięte w ranwersy i dopełnione plisowaną kamizelką, boczki zaś i plecy znacznie dłuższe, przecięte w patki; zapięcie dane z boku na kryte haftki. Przybranie wskazuje ryc. 19.



N. 33. Sukieneczka z bluzką.

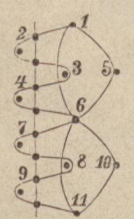


N. 36. Woreczek ręczny. Wyszycie krzyżykowe patrz ryc. 37—38.

N. 21—29. Pasmanterye, guziki i kołnierz z perełkami.

Rycina 24 przedstawia trochę zmniejszoną gałązkę wyszytą na sztywnym tiulu gładkiemi i deseniowemi czarnemi drewnianemi perełkami, z dodaniem szmelcowanych perełek i bretońskich guzików drewnianych wyrabianych w rybią łuskę. Odpowiednią torsadę przedstawia ryc. 23 w połowie naturalnej wielkości. Agrafka do zapięcia okryć, wskazana na ryc. 26 wyrobiona jest ozdobnie z miedzi i niklu, środek zajmuje szkło naśladujące drogi kamień. Rycina 21 przedstawia grelotki z drewnianych bronzowych perełek, przyczepiane do bronzowej pletni, zaś ryc. 22 grelotki drewniane czarne, w kształcie dzwoneczków, w których środki dodane z perełek. Na ryc. 27—29 dajemy model modnego kołnierza i mankietów, odrobionych na bronzowym jedwabnym repsie, pokrytym złotym tiulem, z brzegów w maszynie obwiedzionym w ząbki, zdobne drobnemi drewnianemi perełkami. Na całem tle naszyte w odstępach grelotki ze świecących perełek.

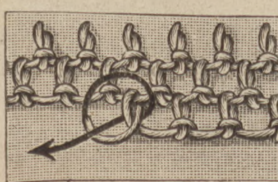
N. 30. Czepeczek z haftem wschodnim.



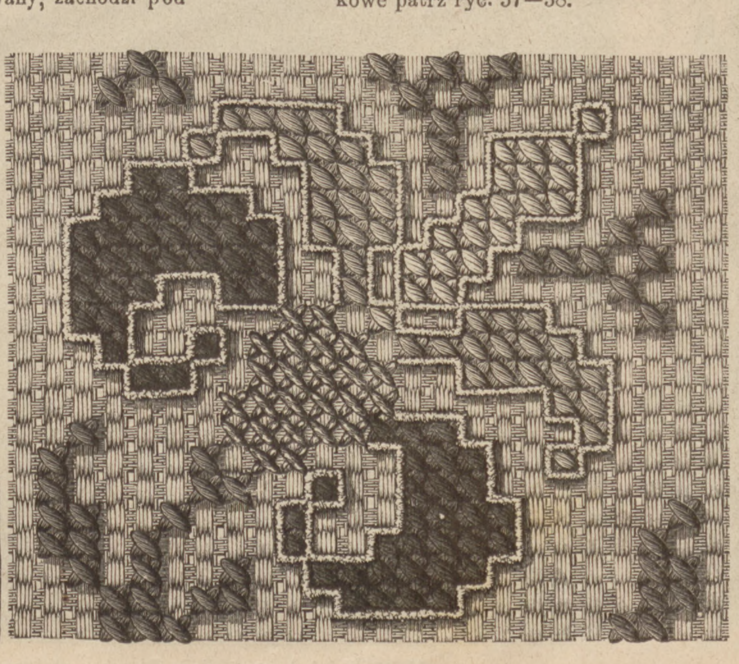
N. 34. Napięcie deseniu na ząbki brzeżne do ryciny 11.



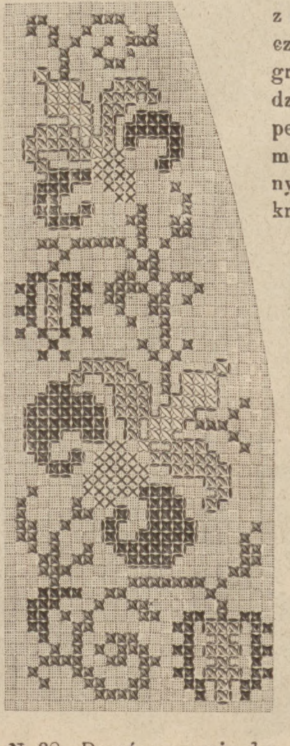
N. 35. Ścieg koronkowy do ryc. 9.



N. 39. Ścieg koronkowy do ryc. 11 w N. 20.



N. 37. Wyszycie krzyżykowe do ryc. 36.



N. 38. Deseń wyszycia do ryc. 36.



N. 40. Ścieg koronkowy do ryc. 11 w N rze 20.



N. 41. Ubranie strojne wizytowe. N. 42. Suknia z trenem.

Do podstawy ze sztywnego muślinu lub tiulu, dodane jest nad czołem czółko z kolorowej materyi haftowanej jedwabiami, której brzeg dolny zakończony perełkami. Denko namarszczone jest z dwóch rzędów szerokiej koronki, zachodzących na siebie.

N. 31. Czepeczek tiulowy.

Podstawę przygotowywa się z paska sztywnego tiulu odpowiedniej długości, w środku 4 w końcach 2 cent. szerokiego, do prostego górnego brzegu dodaje się kawałek sztywnego tiulu, którego brzegi wraz z paskiem oszyte są w około drucikiem i objęte wstążeczką. Denko zaplisowane z owalnego kawałka tiulu koronkowego, przyszywa się do górnego brzega podstawy. Na wachlarzowe fałdowanie z przodu i na karczek potrzeba 250 cent. koronki, 6 cent. szerokiej. Pomiędzy koronką wsuwane są półkoliste rozety układane w pukielki z wąziutkiej wstążeczki różowej, ponsowej i vieil-or.

N. 32. Sukieneczka wycięta, dla małej dziewczynki.

Spódniczka marszczona, z ciemno ponsowego materyału, zaszyta w drobne zakładki i zakończona szeroką falbaną koronkową. Gładki wycięty staniczek przybrany jest plastronem koronkowym i bretelkami oszytemi koronką; zapięcie dane z tyłu na guziki.

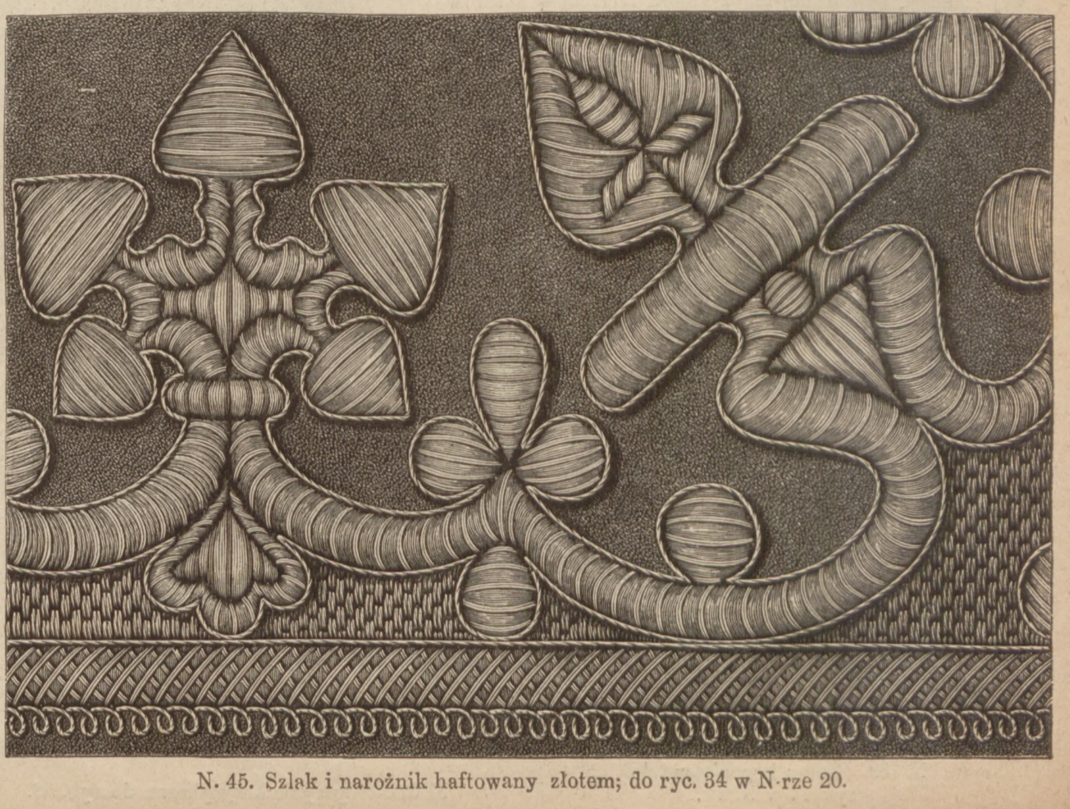
(*D. n.*)



N. 43. Ubranie strojne spacerowe z kaftanikowem stanikiem.



N. 44. Suknia z vêtement.



N. 45. Szlak i narożnik haftowany złotem; do ryc. 34 w N-rze 20.